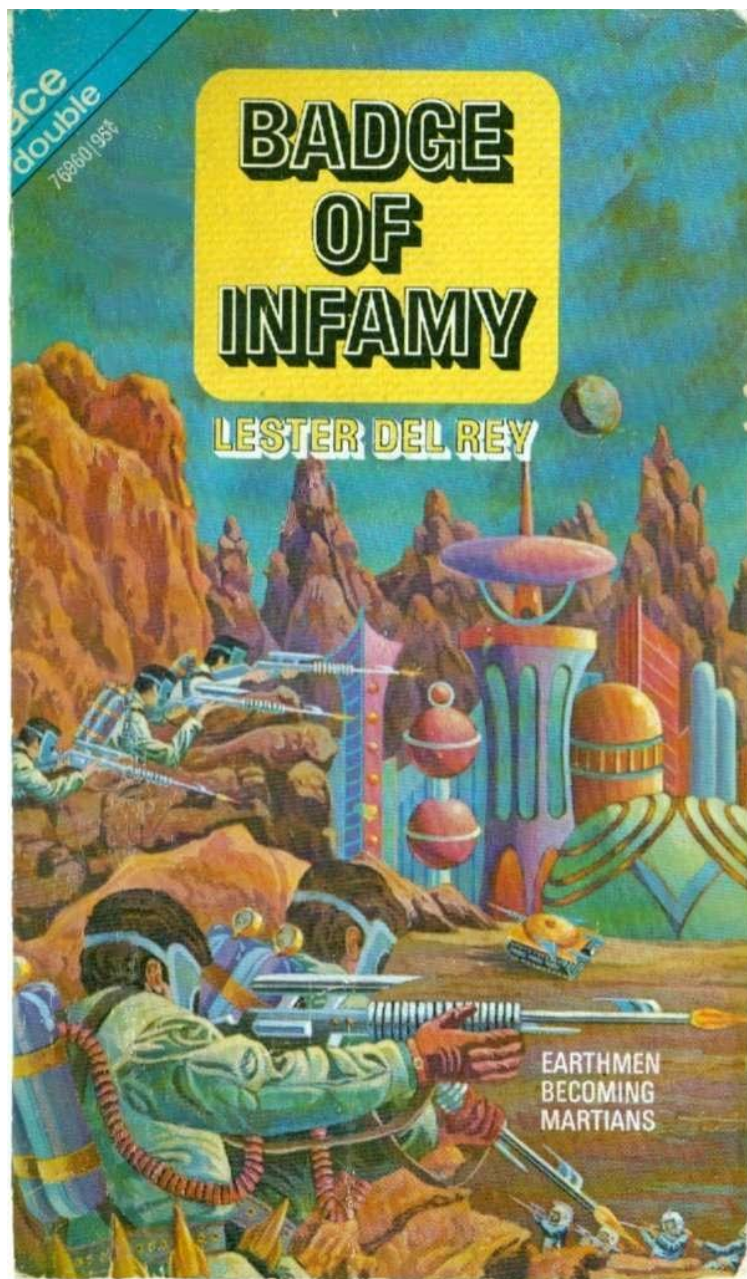




Lester Del Rey

Piętno niesławny

(Badge of Infamy)

Copyright © 1963 by Galaxy Publishing Corp.
Copyright © 1957 by Renown Publications, Inc.

A shorter and earlier version of this story appeared in *Satellite Science Fiction* for June, 1957.

Thumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the novel "Badge of Infamy" by Lester del Rey, published by Project Gutenberg, October 5, 2006 [EBook #19471].

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from an Ace Books paperback, 1973. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

I

Parias

Powietrze w najtańszej noclegowni w mieście było wręcz gęste, przesiąknięte ostrym odorem antyseptyków i niemytych ciał. Wczesna w tym roku, bożonarodzeniowa burza śnieżna przygnała do środka każdego kloszarda, który tylko był w stanie ukraść lub wyżebrać pieniądze na opłatę za wejście, tak więc długie rzędy prycz wypełnione były grubo ubranymi sylwetkami. Ci, których stać było na wydanie dodatkowych dziesięciu centów, leżeli zawinięci w cienkie ciemne koce.

Parias, taki jak dr Daniel Feldman, nie mógł cieszyć się nawet takim luksusem. Przekręcił się nerwowo na gołej pryczy, odwracając głowę w stronę przyciemnionego światła. Twarz miał dosyć przystojną, w tej chwili jednak jego wychudzoną brodę i zapadłe policzki pokrywała czarna szczecina kilkudniowego zarostu. Wyglądał na co najmniej dziesięć lat więcej niż swoje trzydzieści dwa, a w kącikach ust, zaczęły mu rysować się już zaczątki zmarszczek. Jego ubranie, niegdyś kosztowne, teraz pomięło się i pokryło warstwą brudu, którego nie było w stanie usunąć żadne pranie. Na próżno usiłując zachować ciepło, zwinął swoje długie, chude ciało w niewygodny kłębek, instynktownie przytrzymując kurczowo jedną ręką niewielką torbę z całym posiadanym dobytkiem.

Ponownie poruszył się i nagle rzucił się w prawo, z protestem formującym się już na wargach. Przebiegł oczami po nieprzyjaznym otoczeniu, wpatrując się podejrzliwie w inne łóżka. Nie było jednak żadnej oznaki, by ktokolwiek próbował ukraść mu jego węzełek albo cenną torebkę taniego tytoniu.

Zaczynał już się odprężyć, wyciągając się z powrotem na leżance, gdy jego uwagę przyciągnął inny odgłos, przebijający się nawet poprzez chrapanie śpiących ludzi. Był to słaby szloch, głos człowieka, który nie jest w stanie już dłużej wytrzymać.

Feldman odwrócił się do pryczy po swojej lewej stronie, i szloch urwał się. Człowiek, który na niej leżał wyglądał na dobrze odżywionego i był gładko ogolony, ale na jego twarzy widać było chorobliwą bladość. Wił się, trzymając za żołądek, wyginając w łuk plecy, próbował złagodzić bóleści w środku.

– Choroba przestrzenna? – zdiagnozował Feldman.

Nie potrzebował nawet słabego jęku, jaki otrzymał w odpowiedzi. W przeszłości kilka razy miał już do czynienia z podobnymi przypadkami. Chorobę zazwyczaj powodował brak grawitacji w przestrzeni kosmicznej, ale mogła być także konsekwencją uszkodzenia narządów wewnętrznych, spowodowanego na przykład spożywaniem zbyt dużych ilości kiepskiego

alkoholu. Mężczyzna niewątpliwie musiał być częstym gościem niewłaściwych barów w portach kosmicznych.

Teraz w ewidentny sposób, umierał. Silne skurcze perystaltyczne wydawały się wyrywać mu wnętrzności, a paroksyzmy bólu nadchodziły coraz częściej. Wytrzeszczone oczy wpatrywały się w woreczek z tytoniem Feldmana, i coraz wyraźniej rysowała się w nich zwierzęca prośba.

Feldman przez moment zawahał się, ale potem niechętnie zwinął skręta. Przytrzymał papierosa, w czasie gdy kosmonauta zaciągnął się z niego długim wdechem. Resztę wypalił sam, pozwalając aby ostry dym tytoniowy podrażnił mu płuca, przyprawiając o mdłości pusty żołądek. Potem wzruszył ramionami i wstał idąc wąskimi przejściami między pryzmami, w kierunku dyżurnego opiekuna sali.

– Lepiej wezwij lekarza – powiedział cierpko, kiedy młody chłopak spojrzał w górę na niego. – Masz człowieka umierającego na chorobę przestrzenną na 214.

Szyderczy uśmiech na twarzy dzieciaka tylko się pogłębił.

– Taa...? Nie płacimy za lekarzy, za każdym razem gdy jakiś pijaczek chce puścić pawia. Weź sobie na wstrzymanie i wracaj na swoje miejsce, dziadku.

– Za godzinę będziesz miał zwłoki do wyniesienia – nalegał Feldman. – Do cholery, rozpoznam jeszcze chorobę przestrzenną.

Dzieciak pochylił się z powrotem nad wypełnianym kuponem loterii.

– To weź go sobie wylecz sam, jeżeli chcesz bawić się w doktora. Spadaj lumpie... zanim wywalę cię na zewnątrz, na mróz i śnieg.

Zaciśnięta do białości pięść Feldmana sama wyciągnęła się w kierunku dyżurnego. W ostatniej chwili jednak powstrzymał się. Zaczął już odwracać się do tyłu, wahając się, ale w końcu z powrotem spojrzał na opiekuna.

– Nie gadam żadnych głupot. I kiedyś *byłem* lekarzem – krótko oświadczył. – Nazywam się Daniel Feldman.

Opiekun nieobecnie potakiwał głową, do chwili gdy ostatnie słowa w końcu do niego dotarły. Spojrzał w górę, przyglądając się Feldmanowi badawczo z niespodziewaną ciekawością i narastającą pogardą, a potem sięgnął po słuchawkę.

– Dajcie mi Dział Medyczny – wymamrotał.

Przeciskając się w wąskich przejściach z powrotem do swojego łóżka, Feldman przez cały czas czuł na plecach wzrok dzieciaka. Gwałtownie opadł na pryzkę, zwijając trzęsącymi się rękoma kolejnego papierosa. Chory człowiek zbliżał się już do stanu delirium, a wydawane przez niego jęki mieszały się ze słabymi skamlącymi oznakami strachu. Ktoś jeszcze obudził się i przyglądał, ale nikt nawet nie ruszył nawet palcem żeby pomóc.

Wymioty i cierpienia chorego człowieka zaczynały nieco słabnąć, ale ciągle jeszcze nie było za późno, aby go uratować. Gorąca woda i umiejętny masaż mogły przerwać targające nim paroksyzmy. W ciągu piętnastu minut Feldman byłby w stanie całkowicie zatrzymać atak.

Ze zdziwieniem stwierdził, że jego stopy już znalazły się na podłodze, a ręce wyciągają się w kierunku chorego. Gwałtownie odwrócił się z

powrotem w drugą stronę. Pewnie, że mógł uratować tego człowieka... i skończyć w komorze gazowej! Dla drugiego takiego występku przeciwko prawom Lobby nie byłoby już miłosierdzia. Gdyby kosmonauta przeżył, Feldman mógłby wykręcić się chłostą... była to standardowa kara dla pariasa, który przekroczył dopuszczalne granice. Ale przy jego szczęściu, zaraz skończyłoby się to zatrzymaniem akcji serca i kolejną smakowitą historią dla gazet.

Idealizm! Lobby Medyczne robiło wiele szumu wokół tego słowa. Ale to nie było dla niego. Parias powinien myśleć o sobie, a nie o innych.

Kiedy Feldman tak siedział gapiąc się, kosmonauta cichł coraz bardziej. Czasami, nawet na tym etapie, masaż mógł jeszcze pomóc. Było to trudniejsze do zrobienia bez znacznej ilości ciepłej wody, ale masaż był naprawdę istotnym zabiegiem. Feldmana powstrzymało jednak drżenie własnych rąk. Nie miał już na tyle siły i pewności, aby wykonać masaż dostatecznie efektywnie.

Wpatrywał się ze złością w swoje ręce, zdegustowany sam w stosunku do siebie, gdy przybył legalny lekarz. Mężczyzna był stary i zmęczony. Prawdopodobnie jakiś kolejny idealista, który skończył pokonany, godząc się na pozostawienie stanu rzeczy w zgodzie z procedurami ustanowionymi przez Lobby Medyczne. Przyglądał się mu, gdy pochylał się nad umierającym człowiekiem.

W końcu lekarz odwrócił się do opiekuna.

– Za późno. Jedyne, co mogę zrobić, to ulżyć mu w bólu. To wezwanie powinno zostać wykonane co najmniej pół godziny wcześniej.

W oczywisty sposób nigdy przedtem nie miał do czynienia z chorobą przestrzenną. Podał pacjentowi tylko środek znieczulający, prawdopodobnie zawierający jakiś narkotyk. Feldman patrzył na to, i jego wnętrzności aż zwinęły się w kłębek ze współczucia dla wstrząsu, jakim było to dla chorego mężczyzny. Ale przynajmniej narkotyk powinien w końcu skrócić jego cierpienia. Ostateczny atak nadejdzie za minutę lub coś koło tego.

– Beznadziejne – powiedział lekarz. Jego oczy na chwilę się zachmurzyły, a następnie wzruszył ramionami. – Dobrze, wypiszę akt zgonu. Czy ktoś z obecnych zna jego nazwisko?

Jego oczy krążyły wokół koi, dopóki nie spoczęły na Feldmanie. Zmarszczył brwi i grymas uśmiechu wykrzywił jego wargi.

– Feldman, nieprawdaż? Ciągłe jesteś trochę podobny do swoich zdjęć. Czy znałeś denata?

Feldman gorzko potrząsnął głową.

– Nie, nie znam jego nazwiska. Ponadto nie wiem także dlaczego, *jeśli* to była choroba przestrzenna, to na koniec nie zsiniał.

Starszy mężczyzna obrzucił zwłoki zaskoczonym spojrzeniem. Wzruszając ramionami skinął głową w kierunku opiekuna.

– Cóż, lepiej miejmy to już za sobą. Może ciągle ma przy sobie swoją kartę wstępu na statek kosmiczny, mogę stamtąd wziąć jego nazwisko.

Dzieciak zaczął grzebać w torbie, która spadła z łóżka. Wyciągnął z niej parę butów, pół butelki taniego rumu, portfel i metalową kartę kosmiczną,

wykonaną z brązu. Przez chwilę nie mógł poradzić sobie z otwarciem portfela, i zniecierpliwiony lekarz wziął go od niego.

– Autoryzacja Lobby Medycznego. Jeżeli ma pieniądze, pokryją one moje honorarium, reszta przekazana zostanie do jego własnego Lobby. – W środku było kilka banknotów, wszystkie o dużych nominałach. Przekręcił znaną kartę na drugą stronę i zaczął wypełniać akt zgonu. – Arthur Billings. Lobby Kosmiczne. Członek załogi. Przyczyna śmierci, *idiopathic gastroenteritis* i *delirium tremens*.

Nie było widać najmniejszych oznak *delirium tremens*, ale widać lekarz uznał, że pozwoli mu to zdobyć punkt. Rzucił kartę kosmiczną w kierunku butów, zamknął swoją torbę i zaczął przygotowywać się do wyjścia.

– Hej, doktorku! – zabrzmiał oburzony głos opiekuna. – A co z moją opłatą za zawiadomienie?

Lekarz zatrzymał się. Spojrzał na dzieciaka, a następnie w kierunku Feldmana, na jego twarzy pojawiła się mieszanina zastanowienia i niesmaku. Wyciągnął z portfela banknot dolarowy.

– Racja – przyznał. – Opłata za wezwanie do wypłacalnego pacjenta. Zasady Lobby Medycznego stosują się... nawet do człowieka, który je łamie.

Mimo, że to dzieciak wyciągał rękę, lekarz rzucił dolara na koję Feldmana.

– Oto jest twoja opłata, pariasie. – Wyszedł, zmuszając protestującego opiekuna, do pójścia przed sobą.

Feldman sięgnął po banknot. To były brudne pieniądze za dopuszczenie do śmierci mężczyzny... ale oznaczały papierosy i jedzenie, albo schronienie na następną noc, gdyby udało mu się dostać posiłek w misji. Nie mógł już pozwolić sobie na dumę. Ponuro schował banknot do kieszeni, wpatrując się w twarz martwego człowieka. Mężczyzna patrzył do tyłu niewidzącym spojrzeniem, a na jego ciele pojawiły się teraz ledwie widoczne punkciki drobnych kropek. Człowiek, który zmarł na chorobę przestrzenną, nie powinien mieć na skórze czarnych kropek. I w dodatku powinien mieć sinicę...

Zaklął pod nosem i schylił się, aby znaleźć resztki swoich butów. Teraz już nie powinien w ogóle się tym przejmować, tylko zniknąć stąd, zanim opiekun zacznie robić problemy. Jego wzrok spoczął na butach martwego mężczyzny... mocne buty, które mogłyby mu starczyć na cały kolejny rok. Dla trupa to przecież i tak wszystko jedno; a ponadto jeśli on tego nie zrobi, pewnie ukradnie je ktoś inny. Wahał się jednak, przeklinając sam siebie.

Prawy but pasował lepiej niż mógłby tego oczekiwać, ale coś mu przeszkadzało, kiedy próbował założyć lewy. Jego palce znalazły spiżową kartę dającą wstęp na pokład. Obracał ją w kółko, zastanawiając się co zrobić. Nie był jeszcze gotowy do kradzieży tożsamości nieboszczyka, a ponadto wiele słyszał o życiu na statkach kosmicznych. Wepchnął jednak kartę do kieszeni i skończył sznurować buty.

Na dworze ciągle padał śnieg, ale natychmiast zamieniał się w błoto i na chodniku tworzyła się rozmoczona breja. Uświadomił sobie, że zgarnianie śniegu nie miało sensu. Stopnieje zanim jeszcze dzień na dobre

się zacznie. Feldman skulił się pod marynarką, drżąc od ukąszeń zimna. Buty wyglądały na dobre, chociaż naprawdę wygodnie poczułby się w nich, gdyby miał skarpetki.

Minął właśnie tanią restaurację i zapach syntetycznego jedzenia skreślił mu żołądek. Minęły dwa dni od jego ostatniego prawdziwego posiłku, i dolar zaczął palić go w kieszeni. Zmusił się jednak do tego by poczekać. Tego poranka była całkiem spora szansa, że uda mu się znaleźć coś jadalnego.

Ruszył powłócząc nogami. Po chwili zimno przestało mu już tak dokuczać, i pomyślnie przeszedł również próbę głodu. Zwinął kolejnego skręta i ssał go, intensywnie myśląc. Dzięki temu poczuł się znacznie lepiej.

Dopiero sporo później, wielki kaduceusz wbity w chodnik, przywrócił go z trzaskiem do rzeczywistości i świadomości tego gdzie idzie. Podążając ścieżkami starych przyzwyczajęń, jego niepilnowane nogi, zaniósł go za daleko od centrum. Był to gmach Lobby Medycznego, w którym spędził więcej niż wystarczającą ilość czasu, włączając trzy tygodnie w areszcie, zanim pozbawili go zawodu i statusu społecznego.

Powiódł wzrokiem do zdobionego wejścia, z którego po raz pierwszy wyłonił się jako parias. Miał wtedy zamiar zejść tymi schodami tak, jakby był jeszcze człowiekiem. Ale każdy krok osłabiał jego determinację, aż w końcu ukrył twarz i odrzucił od siebie hołubione wcześniej ideały, za które świat go napiętnował.

Teraz stał tam, gapiąc się na wchodzących i wychodzących całymi rzędami, zadowolonych z siebie młodych polityków medycznych. Jeden z nich stanął, poszperał w kieszeni i wyciągnął dwadzieścia pięć centów.

– Wesółych Świąt – głucho powiedział.

Feldman dotknął monety. Wtedy zauważył, że obserwuje go szary policjant Medyczny, i wiedział że czas się wynosić. Wcześniej czy później ktoś tutaj mógłby go tutaj rozpoznać.

Kurczowo schwycił ćwierćdolarówkę i odwrócił się w stronę kawiarni, sprzedającej syntetyki, na które przestawił się już jego metabolizm. Żaden lokal tutaj by go nie obsłużył, ale mógł kupić kawę i kawałek ciasta na wynos.

Kątem oka zarejestrował jakiś nagłe poruszenie, i spojrzał z powrotem.

– Taxi! Taxi...!

Dziewczyna zbiegająca w dół schodów dysponowała czystym sopranem, wykształconym i imponującym. Szary mundur Medyczny wydawał się oblewać jej kształną figurę, a rude włosy błyszczały w świetle ulicznych lamp. Zadarty nos i zdeterminowane usta nie odpowiadały dzisiejszej modzie, ale nikt nawet nie myślał o modzie, kiedy na nią spoglądał. Nie musiała być wcale córką prezesa Lobby Medycznego, aby rządzić.

To była Chris... kiedyś Chris Feldman, a teraz z powrotem Chris Ryan.

Feldman skinął w kierunku taksówki. W tym momencie jego ruchy były automatyczne i pewne, tak więc samochód zatrzymał się zanim kierowca zauważył stan jego ubrania. Podniósł upuszczoną przez Chris torbę, i

wstawił ją na przednie siedzenie. Przez chwilę szperała w portmonetce, podczas gdy on odwrócił się by zamknąć drzwi.

– Dziękuję ci, mój dobry człowieku – powiedziała. Mogła być łaskawa nawet dla pariasa, gdy jego hołd był jej przydatny. Położyła na jego ręce dwie ćwierćdolarówki, jednocześnie podnosząc wzrok.

W jej oczach błysnęła iskra rozpoznania, po której nastąpił lodowaty wstrząs. Trzasnęła drzwiami taksówki i krzyknęła coś do kierowcy. Samochód ruszył z pośpiechem, pozostawiając Feldmana w strugach wody i błota, tryskających spod tylnych kół.

Spojrzał w dół na monety w swojej dłoni. Gorzko pomyślał, że dziś ma chyba naprawdę szczęśliwy dzień.

Ruszył przez ulicę i dalej, nie przejmując się wywoływanym przez siebie piskiem hamulców i trąbieniem klaksonów. Tylko raz spojrzał w tył, w kierunku świecącego neonu, który wieńczył budynek. *Twoje zdrowie to nasz interes!* Kiedy wielki symbol biznesu zdrowotnego bladł za nim coraz bardziej, on błędził po ulicach, ssąc nieustannie rolowane przez siebie papierosy. Jedną ręką ścisnął kurczowo należącą do martwego mężczyzny odznakę z brązu, a skradzione buty prowadziły go naprzód przez roztopiający się śnieg.

Było Boże Narodzenie 2100 roku, w protektoracie Ziemi.



II Lobby

Feldman pozostawił swoim nogom problem wędrówki do wielkiego portu kosmicznego i ucieczki z Ziemi, i pozwolił im w dodatku zabrać go tam bez żadnych dodatkowych rozterek. Jego umysł zanurzył się w wirze przeszłości, przeszłości zarówno jego własnej, jak też całej planety. Obie przeszłości wspólnie cierpiały na stopniowy wzrost i nagłą ruinę idealizmu.

Idealizm! W przeciągu całej niemal historii ludzkości, byli ludzie, którzy poszukiwali ideału, i najczęściej nazywali go wolnością. Jedynie głupcy oczekiwali wolności absolutnej, mądrzy ludzie zaś marzyli o wielu systemach względnej wolności, włączając w to również demokrację. Próbowali zrealizować je także w Ameryce, która była przykładem ostatniego wzlotu tej idei. W dodatku trzeba przyznać, że była to próba całkiem udana.

Ludzie, którzy naszkicowali konstytucję Stanów Zjednoczonych, byli marzycielami, ale całkiem praktycznymi. Podjęli się realizacji swojego zadania w okresie trudnej wojny i najgorszych czasach gwałtownego chaosu, dzięki czemu potrafili znaleźć pewien punkt równowagi, za którym kończy się idealizm, a zaczyna idiotyzm. Ustanowili więc republikę, ze wszystkimi atrybutami i elementami demokracji, jakie uznali za bezpieczne. Zrobili to przy tym na tyle dobrze, by uczynić Amerykę potęgą numer jeden w świecie. Jednak ludzie, którzy byli następcami twórców tego nowego planu, byli już ludźmi zupełnie innego kalibru, nie posiadającymi wiedzy i świadomości ograniczeń praktycznych.

Przywileje które ich przodkowie wywalczyli krwią i ciężką pracą, dla nich stały się prawami przynależnymi w sposób automatyczny. Praktyczni ludzie, próbowali wyjaśniać, że nie ma takich praw -- że każda generacja musi płacić za swoje prawa odpowiedzialnością. Ten sposób argumentacji jednak nie prowadził do niczego. Ludzie chcieli słuchać o swoich prawach, a nie o obowiązkach.

Akceptowano więc powszechnie frazę, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równi, ale opuszczono wynikające z niej zdanie, że była to równość w oczach Boga i wobec prawa. Chcieli równości z najlepszymi, nie rezygnując z własnego dążenia do przeciętności, i mieli zamiar równość tę uzyskać. I w pewnym sensie, ją uzyskali.

Uzyskali rozszerzenie prawa do głosowania na wszystkich. Człowiek na zasiłku lub świadczeniach społecznych, mógł głosować, że chce więcej. Człowiek, który nie czytał niczego poza doniesieniami o przestępstwach seksualnych, mógł głosować na temat najważniejszych kwestii politycznych świata. Nikt do tego głosowania nie wymagał od niego żadnej wiedzy ani umiejętności. Przeciwnie człowiek ten, był zapewniany, że sam

fakt głosowania jest wystarczający do tego, by uczynić z niego wspaniałego, szlachetnego obywatela. Kochał wręcz to, że musiał się przejmować głosowaniem przez cały niemal rok. Stawał się wielkim człowiekiem, dzięki możliwości wyliczania swoich bzdurnych idei, desperacko przy tym pożądamy aby ktoś się nim zaopiekował i zdjął z niego całą ciężącą mu odpowiedzialność. W efekcie więc wychodził z domu i głosował na człowieka, który mu najwięcej obiecał, który był najbardziej podobny do postaci z jego ograniczonych marzeń, do obrazu ojca, obrazu syna lub obrazu bohatera. Nigdy później nie przejmował się tym, by sprawdzić w jaki sposób ludzie których wybrał, wykonywali powierzone im przez niego zadania.

Ktoś jednak musiał się temu przyglądać, i oczywiście ktoś to robił. Zorganizowane specjalne grupy interesów wkraczały wszędzie tam gdzie zawodził motłoch. Lobby stawały się coraz silniejsze. Zawsze były one grupami nacisku, ale teraz stopniowo przekształcały się w trzecie ramię władzy.

Stare Lobby Farmerskie było nie do pokonania. Wielcy farmerzy kształtowali prawa tak jak im się podobało. Przekonali drobnych farmerów, że było to dla dobra ich wszystkich, i wcisnęli im tę historyjkę na tyle dobrze, aby móc kierować głosami całej tej grupy. Wprowadzili swoje prawa wszędzie, gdzie tylko dotyczyło to żywności i upraw.

Ostatnim z wielkich lobby było chyba Lobby Kosmiczne. Dzięki pewnym wypadkom, rozrosło się ono tak szybko, że nikt nawet nie wiedział, że nie było ono właściwie faktyczną częścią władzy. Zostało stworzone w okresie zamętu, kiedy inny kraj, nazywany Rosją, wyniósł pierwszy kawałek metalu ponad atmosferę i kiedy rząd oraz parlamentarzyści, którzy wykazywali się wszystkim, tylko nie zrozumieniem nauki, wpadli panikę związaną z mitem prestiżu narodowego.

Wysiłek podboju kosmosu przekazany został w ręce przemysłu lotniczego, który nigdy nie był w stanie zarządzać nawet sam sobą, wyłączając sytuację gdy był stymulowany przez wojnę lub zagrożenie wojną. W ciągu jednej nocy upadający przemysł lotniczy związany został z kosmosem i poza kilkoma bystrzymi operatorami, nikt nie miał nawet pojęcia jak olbrzymie to miało znaczenie.

Wypracowali oni system podwykonawstwa, który rozprzestrzenił zyski tak szeroko, że niemal każda firma, dowolnych rozmiarów, otrzymała w nich swój udział. A więc wielu patriotycznych, szlachetnych wyborców otrzymywało swoje pensje od firm, które były zablokowane w lobby, i dzięki temu mogło być przez lobby zastraszanych, na pierwszą wzmiankę o recesji.

Tak więc Lobby Kosmiczne na swoim własnym polu zapanowało całkowicie. Stworzyło na tyle silną presję, aby uzyskać wszystko, cokolwiek uznało za stosowne, nawet pomimo prezydenckiego veta. Wykreowało jedynych ekspertów kosmicznych, co znaczyło, że ludzie umieszczeni w agencjach rządowych po to aby je kontrolować, pochodzili z jego własnych szeregów.

Inne lobby wiele nauczyły się od Kosmicznego.

Lobby medyczne istniało już znacznie wcześniej, ale była to zachowawcza grupa ludzi, zainteresowana przede wszystkim ochroną autonomii i etyki zawodów medycznych. Próbowало także bronić się przed rządową kontrolą zabiegów i płatności, czując że nie może zaufać ludziom odnośnie tego, że będą wiedzieli w którym miejscu się zatrzymać. Ale jego historia nacechowana była długą serią porażek.

Walczyło ono przede wszystkim z czymś, co nazywano medycyną społeczną. Ludzie jednak chcieli, aby zabiegi lecznicze były darmowe, co oczywiście oznaczało że były płacone z pieniędzy rządowych, ponieważ wtedy wydatki te były wliczane w zobowiązania budżetowe, i w ten sposób wydawało się im, że nic ich to nie kosztuje. Lobby przegrało i ostatecznie to rząd płacił większość kosztów zabiegów medycznych, a lekarze pracowali za stałą opłatą. Płacono raczej za liczbę zabiegów, a nie za ich jakość. Kompetencja tak bardzo się już nie liczyła. Lobby przegrało, ale nawet tego nie zauważyło, ponieważ obniżające się standardy kompetencji zawodowej, wpływały również negatywnie na kaliber ludzi zajmujących się politycznymi aspektami tego zawodu, czego przykładem było właśnie Lobby.

Aby powstrzymać tę narastającą falę roszczeń, lobby wykorzystało ogólnoświatową epidemię plagi. Epidemia rozpoczęła się w Chinach; skąd mogło zresztą zacząć się cokolwiek, biorąc pod uwagę ponad miliard ludzi stłoczonych na jednym obszarze i kilku szaleńców, planujących podbój świata. Być może był to laboratoryjny mutant, ale nikt nigdy nie zdołał tego udowodnić.

Epidemia zabiła dwa miliardy ludzi, wyniszczając niemal całkowicie populację Afryki i większości Azji, rujnując Europę, i pozostawiając we względnym bezpieczeństwie tylko Amerykę. Nieznany bliżej naukowiec z jednego z laboratoriów, utworzonych za pieniądze Lobby Medycznego, znalazł lekarstwo zanim w Amerykę uderzyły pierwsze fale plagi. Rutherford Ryan, który w tym czasie przewodniczył Lobby, spowodował że Lobby Medyczne zebrało wtedy wszystkie profity.

W czasie gdy świat ciągle leczył rany, Ameryka nim kierowała, a Lobby Medyczne stało się nie do pokonania. Ryan zawarł ugodę z Lobby Kosmicznym i wspólnie zaczęli faktycznie rządzić światem. Żadne z mniejszych lobby nie mogłom podskoczyć, tak samo zresztą jak nie mógł tego zrobić rząd.

Oczywiście ciągle istniał kongres i urząd prezydenta, tak samo jak istniał senat pod rządami cesarzy rzymskich. Ale oba Lobby same rządziły tak jak chciały. Prawdziwa władza stała się czymś w rodzaju oligarchii, jaka zazwyczaj następuje po zbyt dalece posuniętej fałszywej demokracji, rujnującej ideały rzeczywistej i praktycznej samorządności. Człowiek należał do swojego Lobby, po prostu tak jak poddany należał kiedyś do swego pana feudalnego.

Świat stał się teraz bardziej bezpieczny. Och, być może postęp zatrzymał się tak mniej więcej na poziomie z roku 1980, ale jak długo obywatele nie łamali praw swojego lobby, tak długo mieli bardzo mało spraw, którymi musieli się przejmować. Z tych właśnie powodów, dla

bezpieczeństwa i prawa do tego by nie musieć myśleć, większość ludzi wołała aby zostawić wszystko tak jak jest.

Niektóre reguły, wydawały się oczywiście bardzo surowe, takie jak na przykład prawo, głoszące że wszystkie operacje musiały być wykonywane wyłącznie w szpitalach Lobby. Mogło być to jednak usprawiedliwiane tym, że był to jedyny sposób zapewnienia bezpieczeństwa w chirurgii, jak również niedopuszczenia do prowadzenia niedozwolonych eksperymentów, takich jak te które przypuszczalnie spowodowały plagę. Reguła ta stała się więc obecnie absolutnym kanonem etyki medycyny. Ale tak naprawdę wprowadzona została przede wszystkim w celu uzyskania wyższych opłat.

Ojciec Feldmana został poważnie ugodzony przez działanie tej zasady, ponieważ ośmielił się ją kwestionować. Feldman w szkole medycznej nauczył się nie kwestionować niczego. Na zajęciach z Etyki Medycyny uzyskał drugą lokatę, jedynie za Christiną Ryan.

Nigdy się właściwie nie domyślił dlaczego zwróciła na niego uwagę, ale błogosławił zarówno jej zainteresowanie nim, jak i jego efekty. Stał się automatycznie młodym człowiekiem, z oszałamiającymi perspektywami, faworytem córki samego prezesa Lobby. Przeszedł przez internę bez najmniejszych kłopotów. Chris ustąpiła mu, w chęci spędzenia trzech lat praktyki na biednym oddziale, przeładowanym chorymi, zostało to również zaaprobowane przez jej ojca, takie samopoświęcenie znakomicie rzutowało na image przyszłego zięcia. W rewanżu on zgodził się, aby po zakończeniu tego okresu zostać administratorem. Lekarzem lekarzy, jak to sobie przedstawiał.

Pobrali się w kwietniu, podczas gdy jego biuro gotowe było już w maju wraz z osiemdziesięcioosobowym zespołem pracowników. Wydawnictwa reklamowe podupadły, i Lobby Public Relations, które zarządzało wiadomościami i edukacją, płaciło każdemu młodemu talentowi, jaki udało się pozyskać do rozpoczęcia wielkiej odbudowy.

Świętowali to na małym przyjęciu, na jakieś czterysta osób (plus dziennikarze) w domu Ryana w Kanadzie. Miał to być galowy weekend.

Wtedy właśnie postrzelił się Baxter.

Baxter był najbliższym przyjacielem Feldmana w Lobby. Przyjechał, aby zająć się stosunkami z prasą i miał bardzo romantyczne wyobrażenie o dzikiej przyrodzie, nie będąc nigdy wcześniej poza miastem. Wynajął przewodnika i wyruszył na polowanie, osiemdziesiąt mil poza ostatnie forpocztę cywilizacji. Jakoś dostał w swoje ręce broń, pomimo że tylko przewodnicy mieli prawo jej dotykać, zdołał pokonać mechanizmy zabezpieczające, i nacisnął cyngiel, gdy broń skierowana była w złą stronę.

W wycieczce towarzyszyli mu Chris, Feldman i Harnett z działu Public Relations. Siedzieli w pobliżu samochodu, i Feldman cieszył się otoczeniem, Chris robiła plany na przyszłość, a Harnett zbierał materiały. Byli z nimi również fotograf i pisarz, ale oni nie zostali przedstawieni im z nazwiska.

Feldman pierwszy dobiegł do Baxtera. Mężczyzna jęczał wystraszony, obficie krwawiąc. Tylko cud uchronił go od śmierci na miejscu. Kula uderzyła w żebro, odbiła się od niego tracąc część energii, i prawie trafiła

w serce. Jak domyślał się Feldman, przeszła jednak osierdzie, co w każdym momencie mogło spowodować zgon.

Nie zastanawiając się sięgnął po sondę. Chris odtrąciła jego rękę.

Oczywiście, miała rację. Nie mógł operować poza szpitalem. Ale w domku w którym mieszkał przewodnik nie było telefonu, i nie mieli możliwości wezwania ambulansu. Musieliby przewieźć Baxtera z powrotem samochodem, co niemal na pewno skończyłoby się jego śmiercią.

Podczas gdy Feldman wydawał się zastanawiać nad sytuacją, Harnett przyciszonym, ale wzburzonym głosem wygłaszał swoje ostrzeżenia.

– Dotknij go tylko, Dan, a rozgłoszę to w każdym z naszych mediów. Będę musiał to zrobić. To jedyny sposób zachowania zaufania publicznego. Z całą pewnością pojawią się przecieki, przy tych wszystkich przewodnikach, i innych obecnych tutaj osobach, a na to nie możemy sobie pozwolić. Lubię cię... masz klasę. Ale dotknij tylko tej rany, a ukrzyżuję cię.

Chris dodawała swoje własne groźby. Chciała spędzić życie, robiąc z niego ujście dla wszystkich swoich ambicji, dla niej niedostępnych, ponieważ kobiety ciągle mogły być jedynie drugorzędnymi członkami Lobby Medycznego. Nie mogła go teraz utracić. A w dodatku była prawdopodobnie autentycznie zszokowana.

Baxter znów zajęczał i zaczął obficie krwawić.

Nie miał zbyt wielu narzędzi. Feldman operował scyzorykiem, wysterylizowanym jedynie w butelce drogiej szkockiej, w celu znieczulenia stosując jedynie tabletki anodyny. Wydobył kulę, a potem zeszył ranę kawałkiem nici chirurgicznej, który miał przy sobie, ponieważ służył mu on do związania rozerwanego breloczka na szczęście. Fotograf i pisarz przez cały czas wszystko skrupulatnie rejestrowali. Chris straszliwie przeklinała i uderzała pięściami w pień pobliskiego drzewa. Ale Baxter przeżył. Wkrótce zupełnie wyzdrowiał i był zupełnie wstrząśnięty tymi strasznymi rzeczami, jakie mu się przydarzyły.

Feldman natomiast został ukrzyżowany.



III

Kosmonauta

Większość szeregowych marynarzy na statkach kosmicznych, żyła twardym, trudnym życiem... i zazwyczaj bardzo krótkim. W tych wielkich latających baliach pasażerowie i oficerowie mieli zapewniony odpowiednik grawitacji, spędzając podróż w przedziałach obrotowych, ale prości członkowie załóg latali „na swobodnie”. Szczęśliwy marynarz, jakimś cudem przeżył: najpierw dostał choroby próżniowej, a później z niej wyzdrowiał. Nikogo nic więcej nie obchodziło.

Feldman miał kartę wstępu oznakowaną do pracy na *Nawaho*, i nikt w porcie kosmicznym nie kwestionował jego tożsamości. Przecierpiał jakoś agonię przyśpieszenia, w trakcie lotu promem na stację orbitalną, a potem rozchorował się gdy przyśpieszenie ustało. Udało mu się jednak na tyle dobrze kontrolować swoje zachowanie, by przejść niezauważonym za innymi marynarzami, poprzez halę stacji w stronę *Navaho*.

Marynarze podchodzili po kolei do stojącego przy trapie oficera i pokazywali mu swoje odznaki. Szybko rzucał na nie okiem, odhaczał każdego ptaszkiem na trzymanej w ręku liście i krótko pouczał:

– Załoga pokładowa do przodu, maszynownia na rufę – rozkazał. – *Navaho* staruje za piętnaście minut. Hej, ty! Ty przecież jesteś czyszcicielem kanałów!

Feldman jęknął w duchu. Powinien się tego spodziewać. Kanalarze mieli najgorszą robotę ze wszystkich członków załogi. Zabójcza praca, gorąco kanałów napędowych i od czasu do czasu okazyjnie otrzymywane dawki promieniowania. Życie kanalarza nie było warte nawet ceny metalu, z jakiego zrobione były ich karty.

Niezdarnie zaczął przeciskać się wzdłuż szachtu ładunkowego, uchylając się przed pakunkami przerzucanymi sobie z ręki do ręki przez ładowaczy. Jeden z ładunków trafił go w głowę, zadrapując do krwi, drugi walnął go w żebra.

– Uważaj, łachudro – wrzasnął za nim ładowacz. – Uszkodzisz ten pakunek, to cię wyleją. Nie widzisz, że ma oznakowanie specjalnego traktowania?

Widział, na ładunku znajdował się doskonale widoczny zielony pasek. Ponadto znajdowało się na nim jeszcze nazwisko, wydrukowane dużymi literami, które wykrzyczały mu tożsamość właściciela, zanim jeszcze zdążył odczytać słowa. *Dr Christina Ryan, Southport, Mars*.

A on musiał wybrać na opuszczenie Ziemi akurat ten właśnie moment!

Nagle ucieszył się, że został przydzielony do sekcji kanałów napędowych. To takie miejsce na statku, w którym prawdopodobieństwo, że na nią wpadnie, było minimalne. Jako lekarz i pasażer specjalnej troski,

miała pełną swobodę poruszania się po całym pokładzie, ale chyba nie będzie się interesowała niebezpieczną i nieprzyjemną sekcją kanałów.

Włókł się dalej swoją drogą, zaczynając pocić się z wysiłku. *Navaho* był starym statkiem. Wiele z poręczy było pourywanych, i musiał dziwacznymi skokami, rzucać się od jednej drabinki do drugiej. Nabrał już nieco wprawy, ale nie na tyle, by móc się bezpiecznie przemieszczać, kiedy statek wystartuje. Zostało już niewiele czasu, gdy doszedł do rufowego kubryku, gdzie czekali inni kanalarze.

– Ben – jeden z nich przedstawił się, ochrypłym głosem. – Szef kanalarzy. Czy wiesz jak tego używać?

Feldman zauważył, że zmajstrowali mały aparat destylacyjny. Słyszał co prawda o niesamowitych ilościach piwa, wypijanych przez kosmonautów, ale dopiero teraz zrozumiał co go czeka. Przypuszczał, że przynoszenie mocnych trunków na pokład było zabronione, ale robili je sami.

– Potrafię to robić – zdecydował. – Nazywam się... ehem... Dan.

– Okej, Dan – Ben spojrzał na zegar. – Wskakiwać do worków, chłopaki.

Ledwie Feldman zdołał wcisnąć się w workowaty hamak, *Navaho* zaczął leciutko się trząść, a ich waga wzrastać. Wrażenie było całkiem łagodne, w porównaniu do tego co się wydarzyło na promie, ponieważ wielkie statki transportowe nie były w stanie osiągnąć tak dużych przyśpieszeń. Podbój kosmosu prowadzony był już od ponad stu lat, ale statki ciągle były kruchymi cylindrami, którym dotarcie do Marsa zabierało miesiące, a zużywały przy tym ogromne ilości paliwa. Przy niesamowicie wysokich stawkach przewozowych, jedynie wartościowe hormony roślinne z Marsa czyniły jakikolwiek handel w ogóle możliwym.

Trzy godziny później, zaczynał już rozumieć, dlaczego kosmonauci wydawali się nie obawiać śmierci lub pozostania pariasem. Podczas długotrwałej pracy silników gorąco w sektorach przy kanałach napędowych stopniowo stawało się trudne do zniesienia, ale gdy Ben wprowadził ludzi do kabiny głównego kanału, to wydawała się wręcz parzyć. Szef wydał skafandry kosmiczne i skinął ręką na Dana.

– Żółtodziób, co? Okej, wezmę cię ze sobą. Wychodzimy na zewnątrz w kanałach, i wrywamy uszkodzone płyty poszycia. Ja odbijam materiał, ty przynosisz go tutaj i zwalasz na stos.

Uszczelnili kabinę kanału, wypompowali powietrze i weszli do zaparowanych, lekko radioaktywnych kanałów, akurat na tyle dużych, by zmieścić się w nich człowiek na czworaka. Za dyszą stanowiącą ujście kanału znajdowała się już tylko próżnia kosmiczna, czekająca cierpliwie na człowieka, który się poślizgnął. Ben specjalnym narzędziem, zaczął rozpruwać nadpalone płyty. Feldman odnosił je z powrotem i zrzucał na stos wraz z innymi. Żar paleniska plazmy nadtopił je, tak że część spłynęła w dół, na inne bloki. Robota stawała się coraz gorsza, w miarę jak wzrastała odległość od kabiny kanału. Gardziel dyszy kanału rozdziawiała się coraz mocniej i coraz bliżej nich. W środku nie było żadnych poręczy do przytrzymania się, ich jedynym oparciem była siła tarcia ludzkiego ciała o ścianę kanału.

Życie w kolejnych dniach utonęło w żmudnej i ponurej rutynie pracy, snu i krótkiej ulgi jaką dawał słabo oczyszczony samogon z destylatora.

W ten sposób minęło sześć tygodni, i niemal skończyli już czyszczenie kanałów, gdy wybuchł kanał Numer Dwa. Drobinę resztek paliwa radioaktywnego, musiały powoli zbierać się gdzieś w jednym miejscu, aż do chwili gdy osiągnęły masę krytyczną wybuchu. Feldman siedzący w Numerze Pierwszym, omal nie pożeglował w rejs na zewnątrz, w przestrzeń kosmiczną, ale Ben zdążył zareagować na czas. Gdy statek lekko szarpnął, Feldman ostro zahamował na wczepionym w ścianę ciele swojego szefa. Przez moment ich los wisiał na włosku. Później jednak wszystko skończyło się szczęśliwie i Ben odepchnął go, szczerząc zęby w niewyraźnym uśmiechu.

Szarpnął go za kciuk i na chwilę zetknęli hełmy.

– Tamci polecili, zobacz, Dan.

Z dwóch mężczyzn, którzy pracowali wtedy w Numerze Drugim, zostały teraz tylko zwęglone szczątki, dryfujące za statkiem, w kosmicznej próżni.

Nie było żadnych dalszych komentarzy na ten temat, poza tym że od tej chwili musieli harować jeszcze ciężiej, ponieważ ubył im rąk do pracy.

Podczas kolejnego okresu odpoczynku, Feldman dostał łagodnego ataku choroby przestrzennej, co oznaczało dla niego koniec z piciem, i przez jeden dzień nie mógł pracować. Potem tempo wzrosło. Kanały napędowe zostały oczyszczone i zaczęli kłaść nowe płyty poszycia, dla odpaleń podczas lądowania. Nie było czasu na rozmyślanie o niczym innym. Kiedy skończyli pracę, stacja orbitalna Marsa była już niedaleko.

Ben klepnął Feldmana w plecy.

– No, nie jesteś taki zły jak na zielonego, Dan. Niedługo wszyscy dostaniemy sześciodniową przepustkę na Marsa. Wskakuj teraz do worka, żeby potem na dole nie marnować czasu na spanie. Usłyszymy jak statek zacumuje.

Feldman nic nie usłyszał, ale inni tak. Poczuł jak Ben ciągnie go za ramię, próbując wydobyć go z worka.

– Bierz swoje manele, Dan.

Ben podniósł niemal pustą torbę Feldmana i rzucił nią w jego kierunku, zanim ten jeszcze zdążył dobrze otworzyć oczy. Próbował ją złapać, ale spudłował. Wyskoczył z worka, słysząc w uszach śmiech Bena. Torba trafiła w ścianę i upadła otwierając się i rozsypując dookoła całą swoją zawartość.

Feldman zaczął zbierać swoje rzeczy, ale szef już przestał już się śmiać. Wielka dłoń nagle podniosła kartę kosmiczną... i na twarzy Bena już nie było widać przyjaźni.

– Karta Arta Billingsa! – pokazał Ben innym kanalarzom. – Wylatałem z Artem pięć kursów. Oszczędzał każdy grosz, bo chciał kupić farmę na Marsie. Pięć lotów, i pozostał mu jeszcze jeden do zrobienia, aby zebrać wystarczająco dużo. A teraz ty pojawiaasz się z jego kartą!

Kanalarze ze wszystkich stron zbliżali się w stronę Feldmana. W ich oczach nie było nawet cienia niepewności. Widać było, że dla nich rozprawa już się zakończyła i wyrok został ogłoszony.

– Poczekajcie – zaczął Feldman. – Słuchajcie, Billings umarł na...

Czyjaś pięść minęła jego wyciągniętą rękę i wylądowała mu na szczęcie. Poleciał na ścianę. Z drugiej strony w jego kierunku śmignął klucz, ocierając się o ramię i rozdzierając mięśnie. Kolejne ciężkie uderzenie pięścią.

Głos Bena gwałtownie przebił się przez ich wrzaski. .

– Natychmiast przestańcie! – Przepchnął się przez grupę, odrzucając ludzi do tyłu. – Schować to! Zajmiemy się nim później. Teraz, to jest sprawa dla kapitana. Durnie zatracone, chcecie stracić swoje urlopy? – Wskazał na dwu spośród nich. – Wy dwaj, brać go z obu stron... i zamknąć mu gębę.

Wybrana dwójka chwyciła Feldmana za ramiona i powlokła go za szefem przeciskającym się przez kanały napędowe w górę, w stronę sekcji nawigacyjnej statku. Feldman obrzucił szybkim spojrzeniem ich twarze i natychmiast zrezygnował ze wszelkiej myśli o oporze; widać było, że każda szansa dołożenia mu, wyraźnie by ich ucieszyła.

Dwukrotnie zatrzymywani byli przez niższych rangą oficerów, którzy odsyłali ich potem dalej. W końcu znaleźli kapitana, stojącego koło śluzy wyjściowej, najwyraźniej asystującego schodzącym ze statku pasażerom. Większość z nich weszła już do promu, ale Chris Ryan została z tyłu, w czasie gdy kapitan wysłuchiwał raportu Bena i sprawdził fałszywą kartę.

W końcu kapitan zwrócił się do Feldmana.

– Ty. Jak się nazywasz?

Oczy Chris wpatrywały się prosto w Feldmana, wściekłe i zimne.

– To *był* doktor Daniel Feldman, kapitanie Marker – wycodziła.

Feldman stał jak sparaliżowany. Nie miał ochoty spotkać Chris. Chciał odrzucić całą swoją przeszłość. Ale myśl, że ona mogłaby go zadenuncjować, nigdy nawet by mu nie przemknęła przez głowę. Teraz przecież nie chodziło o prawo lobby Medycznego. Oczywiście, wiedziała, że jako pariasowi nie wolno mu było zaokrętować się na pokład statku pasażerskiego. Ale przecież w końcu, kiedyś była jego żoną!

Marker skłonił się lekko w jej kierunku.

– Dziękuję pani, doktor Ryan. Przypuszczam, że powinienem tego kryminalistę zabrać z powrotem na Ziemię w łańcuchach. Ale byłby to wielce kosztowny ładunek. Wy, tutaj. Chcecie zabrać go na dół, na Marsa i tam go uziemić?

Ben wyszczerzył zęby i dotknął grzywki.

– Dziękujemy, sir. Z przyjemnością.

– Dobrze. Jego płaca wraca do funduszy statku. To wszystko, panowie.

Feldman zaczął protestować, ale czyjaś dłoń gwałtownie chłósnęła go w usta.

Nawet już się nie wyrywał, kiedy zawlekli go do promu dla załogi, który po chwili odleciał do Southport. Zamknął oczy i siedział ze spuszczoną głową. W końcu to Ben złamał panującą ciszę.

– Co się stało z pieniędzmi Arta? Miał ich całą kupę.

– Idź do diabła!

– Gadaj, powiedziałem ci! – Ben wykręcił jego rękę do tyłu, stopniowo nasilając założoną dźwignię.

– Lekarz zabrał je jako opłatę, gdy Billings umarł na chorobę próżniową. Do diabła, nie mogłem mu w niczym pomóc!

Ben popatrzył na pozostałych.

– Opłata Med Lobby, co? Każdy z nich by ją wziął. Hmmm... Tak rzeczywiście mogło być..., może. – Wzruszył ramionami. – Okej, rozsądne wątpliwości. Dobra, nie zabijemy cię, łachu. A przynajmniej nie do końca.

Prom wylądował, i Ben rozdał małe hełmy i aparaty oddechowe, które sprężały powietrze i umożliwiały przeżycie w rzadkiej atmosferze Marsa. Na zewnątrz kanalarze na zmianę trzymali Feldmana i tłukli go. W tym samym czasie pasażerowie wysiadali ze swojego promu. Zapadając w nieświadomość, Feldman miał przed oczami obraz lodowatej twarzy Chris Ryan, idącej równym krokiem w kierunku stacji portowej.



IV

Marsjanin

Kiedy Feldman znalazł się na Marsie, właśnie był środek nocy, i temperatura szybko opadała. Zanurzony w gęstej mgie cierpienia usiłował pozbierać się i usiąść. Gdzieś, w torbie powinien mieć tabletkę anodyny, która zabiła by przeszywający go ból. W końcu znalazł pastylkę i połknął ją, przepychając przez wargi zaciśnięte na aparacie oddechowym.

Nagle uświadomił sobie, że jego aparat oddechowy oznacza teraz dla niego życie. Wykręcił się, by zerknąć na małą lampkę wskaźnika poziomu naładowania baterii. Wskazywała na połowę pojemności. Wtedy zauważył, że ktoś oprócz jednej baterii dołączył do zestawu również drugą. Zaintrygowało go to przez moment, ale jego najpilniejszym zmartwieniem ma obecną chwilę, było znalezienie jakiegoś schronienia.

Najwyraźniej ciągle był w miejscu, w którym został pobity. Widać stąd było światło dolatujące od strony małego budynku stacji dla pasażerów, tak więc skierował się w jej kierunku, szperając w poszukiwaniu kilku ćwierćdolarówek, stanowiących cały jego majątek.

Być może lepiej byłoby już, gdyby kanalarze go zabili. Baterie były tutaj rzeczą niezbędną do życia, jedzenie i schronienie też z pewnością są bardzo drogie, a on nie ma żadnych umiejętności, które pomogłyby mu zarobić na życie. Został mu co najwyżej dzień lub coś koło tego. W tej chwili jednak musi znaleźć ciepłe miejsce, inaczej mróz zabije go od razu.

Mała restauracja koło poczekalni, ciągle była otwarta, a powietrze w środku ciepłe. Ściągnął aparat oddechowy, i wyłączył jego zasilanie.

Gdy wszedł, kasjer nawet nie podniósł wzroku. Feldman przejrzał wydrukowane menu i aż się wzdrygnął.

– Zupę – zamówił. To była najtańsza pozycja, jaką zdołał znaleźć.

Kasjer utkwił w nim wzrok, wyraźnie rozpoznając jego ziemskie pochodzenie.

– Czy jest pan przyzwyczajony do syntetyków?

Feldman skinął głową. Ziemia stosowała dietę mieszaną, z syntetykami dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na naturalne pożywienie. Ale Mars był całkowicie syntetyczny. Wiele ze związków chemicznych, występujących w pożywieniu, mogło istnieć w jednej z dwu form, lub izomerów; pod względem składu chemicznego były bardzo podobne, ale odmiennie wykryształizowane. Czasami obie formy możliwe były do strawienia, ale zazwyczaj ciało ludzkie mogło korzystać jedynie z tego izomeru, do którego było przystosowane.

Okazało się, że marsjańskie rośliny produkowały właśnie odmienne izomery od tych na Ziemi. Tak więc ponieważ stwierdzono, że żywność syntetyczna jest normalna dla Marsa, uznano że jest również bardziej

naturalna. Badania przeprowadzone w celu umożliwienia wczesnym kolonistom odstawienia pożywienia naturalnego, zaowocowały stworzeniem specjalnego enzymu, który pozwalał organizmowi na strawienie obydwu izomerów. Po kilku tygodniach spożywania syntetycznej lub marsjańskiej żywności, organizm przystosowywał się, nie potrzebując już więcej podawania enzymu, tracił jednak zdolność korzystania z normalnego ziemskiego jedzenia.

Niska cena syntetyków i odkrycie, że wiele typowych ziemskich chorób nie atakuje organizmów zaadaptowanych do warunków marsjańskich, doprowadziło do szerokiego rozpowszechnienia pożywienia syntetycznego również na Ziemi. Nie pariasi zazwyczaj jednak mogli pozwolić sobie na żywność naturalną.

Feldman skończył zupę i znalazł papierosa, który nadawał się do zapalenia.

– Czy nie ma pan nic przeciwko temu, bym usiadł sobie w poczekalni?

Spodziewał się odmowy, ale kasjer jedynie wzruszył ramionami. Poczekalnia była niemal ciemna, a powietrze w niej chłodne, ale utrzymywano tam normalne ciśnienie. Znalazł ławkę i opadł na nią, zapalając swojego papierosa. Zrezygnował ze skrętów, ale prawdopodobnie nie na długo. Z niechęcią skończył papierosa i siedział skulony na ławce, czekając na poranek.

Po jakimś czasie usłyszał dźwięk otwieranej śluzy powietrznej, a następnie odgłos kroków stóp na płytach podłogi poczekalni, ale nie uniósł wzroku, dopóki nie trafił w niego cienki promień światła z latarki. Wtedy ciężko westchnął i pokiwał głową. Buty, zrobione z jakiegoś dziwnego włókna, nie wyglądały jakby należały do gliniarza, ale to był przecież Mars. Spoza światła widział jedynie jakiś duży, niezgrabny cień.

– Pan jest tym facetem, który był doktorem medycyny? – Głos brzmiał sucho i staro.

– Taaa – odpowiedział Feldman. – Kiedyś.

– Dobrze. Myślałem że ten kosmonauta łągał, a przede wszystkim był pijany. Niech pan ze mną idzie, Doc.

– Dlaczego? – Nie miało to znaczenia, ale jeśli chcieli, żeby się ruszył, muszą go popchnąć trochę mocniej.

Strumień światła przekręcił się do góry, pokazując tego drugiego. Był cieniem złożonym ze starej skóry, z posiwiałą szopą piaskowych włosów i najbardziej szarymi oczyma jakie Feldman widział w życiu. Była to twarz, jaka mogłaby należeć do wiejskiego sklepikarza z Nowej Anglii, z taką samą nutką suchego humoru. Mężczyzna ubrany był w wywatowane lewisy i skórzaną kurtkę, w trudnym do określenia wieku. Jego aparat oddechowy wyglądał na zużyty i wielokrotnie poreperowany. Jedną z wielkich rąk zaciskała się na nim kurczowo.

– Ponieważ jesteśmy pańskimi przyjaciółmi, Doc – głos powoli cedził wypowiedane słowa. – Ponieważ może równie dobrze pójść pan z nami, jak i siedzieć tutaj. Być może mamy dla pana pracę.

Feldman wzruszył ramionami i wstał. Jeśli mężczyzna był policjantem Lobby, miał zupełnie inny wygląd niż zazwyczaj to bywało. Zresztą nic nie mogło być gorsze od obecnych perspektyw.

Wyszli razem przez drzwi poczekalni na zewnątrz budynku stacji, i ruszyli w kierunku stojącego przed nią rozklekotanego pojazdu. Wyglądał trochę jak skrzyżowanie gruchota nastolatka i miniaturowego czołgu wojskowego z dawnych lat. Pojazd miał napęd gąsienicowy, a jego poobijana kabina była całkowicie hermetyczna. Z tyłu sterczała mała śluza powietrzna.

W środku czekało dwu mężczyzn, obaj brodaci. Stary człowiek wyszczerzył do nich zęby.

– Mark, Lou, poznajcie doktora Feldmana. Niech pan siada, Doc. Nazywam się Jake Mullens, i można powiedzieć, że jesteśmy farmerami.

Silnik zaskoczył z warkotem. Traktor zawrócił i zaczął kierować się poza Southport, w stronę pustynnych wydm. Trząśł się i klekotał, ale zdawał się poruszać w dobrym tempie.

– Nie mam zielonego pojęcia o uprawie ziemi – zaprotestował Feldman.

Jake wzruszył ramionami.

– No pewnie, oczywiście, że nie. Paru naszych przyjaciół usłyszało o panu, gdy marynarze trochę sobie podpili i puścili farbę. Wiemy kim pan jest. Proszę, chce pan spróbować braki?

Feldman wziął od niego coś, co ma pierwszy rzut oka było podobne do papierosa, i przyjrzał się temu z podejrzliwością. W dotyku rzecz była chropowata, włóknista w środku, z cienką, twardą skorupą, wyglądała jak coś naturalnego, tak jakby została ucięta z jakiejś łądygi. Zapalił to, nie wiedząc czego oczekiwać. Po chwili rozkaszał się, gdy gorzki, zjadliwy dym podrażnił mu gardło. Już miał to świństwo wyrzucić, ale zawahał się. Jake też zapalił swój kawałek łądygi i Feldman niemal natychmiast poczuł skrecający go głód nikotynowy.

– Niektórzy to lubią, większość nie – powiedział Jake. – Nie zaszkodzi panu. Niech pan spojrzysz... tam, widzi pan? Stare ruiny marsjańskie. Zbudowane przez jakąś rasę milion lat temu. Jest ich tylko z pół tuzina na całym Marsie.

W świetle traktora była to jedynie grupa zwietrzałych kamiennych budowli, i Feldman widział je już dokładniej na zdjęciach stereo. Były one interesujące tylko dlatego, że wiązały się z legendarną rasą Marsjan, podobnie jak kanały które zobaczyć można było z kosmosu, natomiast z powierzchni planety stawały się zupełnie niewidoczne.

Feldman czekał aż pozostali poruszą w końcu ten temat, ale Jake ciągle milczał. W końcu dogasił i wyrzucił niedopałek łądygi.

– Dobrze, Jake. Czego pan chce ode mnie?

– Konsultacji, być może. Czy słyszał pan może kiedyś o zielarzach? Ja jestem jednym z nich.

Feldman wiedział, że Lobby pozwalało sobie tutaj na pewną wyrozumiałość, z powodu braku prawdziwej pomocy lekarskiej. Na całym Marsie istniał tylko jeden przyzwoity szpital, w Northport, po drugiej stronie planety.

Jake westchnął i sięgnął po kolejny kawałek łądygi braki.

– Taaa..., na ziołach znam się całkiem nieźle. Ale mam na głowie całą chorą wioskę i nie mogę dać sobie z tym rady. Nie stać nas na zastawienie

wszystkich naszych zbiorów tak, byśmy mogli zapłacić za podróż do Northport. W Southport wszystko się zatrzymało, aż do chwili gdy ich nowa lekarka przestawi sobie metabolizm. Może ludzie którzy kiedyś tam pracowali by pomogli, ale pomarli kilka miesięcy temu. Tak więc wygląda na to, że pan jest naszą jedyną nadzieją.

– No, to nie macie żadnej nadziei – Feldman rzucił ze zboląłą miną. – Jestem pariasem, Jake. Nie mogę tego dla was zrobić.

– My również słyszeliśmy o pańskim sporze z Lobby. Wiadomości docierają na Marsa. Ale to są naprawdę bardzo chorzy ludzie, Doc.

Feldman potrząsnął głową.

– Lepiej proszę mnie odwieźć z powrotem. Nie mam pozwolenia na praktykowanie medycyny. Jeśli cokolwiek się stanie, dostanę zarzut morderstwa pierwszego stopnia.

Lou przechylił się do przodu.

– Mam z nim pogadać, Jake?

Stary człowiek skrzywił się.

– Jeszcze będzie na to czas. Najpierw niech zobaczy, co my tu mamy.

Piach wył na owiewkach, a traktor podskakując na wybojach posuwał się dalej. Feldman wziął kolejną łodygę i próbował ocenić kierunek w którym jechali. Kiedy traktor w końcu się zatrzymał, nie miał jednak najmniejszego pojęcia gdzie trafili. Była to wioska złożona z małych chat, które wydawały się być po prostu wejściami do pomieszczeń mieszkalnych wykopanych pod powierzchnią. Zaprowadzili go do jednego z nich, a następnie poprzez tunel do dużego pomieszczenia wypełnionego prostymi pryczami i zbolętymi jękami chorych ludzi.

Dwie kobiety próbowały ulżyć w cierpieniu sześciorgu chorym, czterem dzieciom i dwojgu dorosłych. Ich twarze rozjaśniły się, kiedy zobaczyły Jake'a, ale w chwilę potem znowu posmutniały.

– Eb i Tilda zmarli – przekazały smutną nowinę.

Feldman obejrzał dwa ciała przykryte prześcieradłami i aż zagwizdał z wrażenia. Skórę dwojga starszych ludzi, po śmierci pokrywały takie same czarne plamki, jakie widział już wcześniej na twarzy Billingsa.

– Zabawne – wolno powiedział Jake. – Nie zachowywali się tak samo jak pozostali, a już z całą pewnością zmarli dużo szybciej. Do licha z tym, najpierw dzieci. Znalazłem w książce opis tego cholerstwa. Infantile paralysis. Co pan na to, Doc? Coś tak jak przeziębienie, świnka.

To w oczywisty sposób było polio... jedna z chorób, które mogły zaatakować ciało przystosowane do Marsa. Feldman patrząc na chore dzieci potwierdził symptomy. Na koniec jednak tylko wzruszył ramionami.

– Jest na to właściwy sposób leczenia, ale nie mam odpowiedniej surowicy. Pan również ani jej nie ma, ani nie jest pan w stanie mi jej tutaj dostarczyć. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym pomóc...

– W takiej starej książce nie było co prawda opisu sposobu leczenia – przerwał mu Jake. – Ale twierdziła ona, że dzieci nie muszą zostać kalekami. Było tam coś o metodzie Kenny'ego. Doc, czy to cholerstwo rzeczywiście powoduje kalectwo na całe życie?

Feldman zobaczył jak jeden z chłopców wzdrygnął się. Opuścił oczy, pamiętając sprawną służbę szpiegowską Lobby na Ziemi, i zastanawiając

się czy równie skutecznie działa ona i tutaj. Ale wiedział już, jaki będzie wynik.

– Niech pana diabli, Jake!

Jake zachichotał.

– Miałem nadzieję, że się pan zgodzi. Z całą pewnością to doceniamy. Niech pan nam tylko powie, co mamy robić, Doc.

Feldman zaczął wypisywać swoje potrzeby, próbując sobie przypomnieć szczegóły sposobu leczenia. Ćwiczenia, gorące okłady, masaże. Wszystko do niego wracało. Oczywiście najlepiej byłoby to zrobić samemu, aby złapać w pełni wycucie. Słowami nie potrafił objaśnić wszystkiego dostatecznie dokładnie. Nie mógł również odwrócić się plecami do tych dzieciaków.

– Może mógłbym pomóc – powiedział z niepewnością przesuwając się w stronę łóżka.

– Nie, Doc. – W głosie Jake’a znikła nuta wesołości i powstrzymał młodszego mężczyznę ręką. – Wyrządził nam pan wielką przysługę, i niech mnie diabli, jeśli pozwolę panu wystawić kark za mocno. Nie może pan sam ich leczyć. Na Marsie jest trudniej niż na Ziemi. Na razie musi pan tu żyć pod rządami Lobby Kosmicznego i Medycznego. Och, może nie przejmują się oni specjalnie tym, że paru starych głupców, takich jak ja, bawi się tutaj w znachorów, ale z całą pewnością nie pozwolą sobie na wypuszczenie z rąk człowieka, który potrafi uprawiać prawdziwą medycynę. Proszę pozwolić zrobić to mnie, albo niech pan wsiada do traktora, a ja każę Lou odwieźć pana z powrotem. Jeśli zacznie pan tutaj, nie da się już tego zatrzymać. Proszę mi wierzyć.

Feldman spojrzał na niego, i po raz pierwszy w zebranych wokół niego kolonistach, zobaczył ludzi. Już od bardzo dawna nie został potraktowany jak człowiek, przez nikogo.

Wiedział, że Jake ma rację. Kiedy tylko dotknie swoimi rękoma bandaży, w końcu nie będzie drogi odwrotu od skalpela. Ci ludzie zbyt desperacko potrzebowali pomocy medycznej. W końcu wieści się rozejdą i policja Lobby przybędzie po niego. Chris nie mogłaby w żaden sposób pozwolić sobie na jego ochronę. Tak prawdę mówiąc, to teraz był raczej pewien, że polowałaby na niego przez całe dni i noce.

– Niech pan nie będzie głupcem, Jake – szorstko polecił. Podał swoją listę jednej z kobiet. – Musicie nauczyć się robić to, co będę wam pokazywał – powiedział do zebranych wokół niego ludzi. – Przez kilka tygodni będziecie harować jak szaleni. Ale nie będzie tu wielu kalekich dzieci. To akurat mogę wam obiecać.

Aż zamrugał na widok nagłego błysku nadziei w ich oczach. Ale jego umysł nieustannie krążył wokół refleksji, ile czasu może minąć zanim dopadną go nieuniknione konsekwencje tego czynu. Przy odrobinie szczęścia, może nawet kilka miesięcy. Ale on nigdy nie cieszył się jakąś szczególną opieką Fortuny. Prawdopodobnie skończy się to nawet jeszcze szybciej, niż ma nadzieję.

V

Operacja

Doc Feldman miał jednak nawet więcej szczęścia niż tego się spodziewał. Przez cały ziemski rok znowu był lekarzem, krążąc od jednej wioski do drugiej, w zależności od potrzeb, i robiąc wszystko co tylko mógł.

Wsie przeżyły już okres izolacji podczas wczesnych faz kolonizacji Marsa, kiedy ich mieszkańcy uczynili nieśmiałą próbę wyrwania się z rąk Lobby Kosmicznego. Dostawy dla nich zostały natychmiast odcięte, co zmusiło ich do samodzielnego wytwarzania na własny użytek, wszystkich niezbędnych rzeczy. Obecnie byli więc w wysokim stopniu samowystarczalni. Uprawiali rodzime rośliny i pozyskiwali z nich hormony w prostych, małych fabryczkach chemicznych. Hormony te były potem sprzedawane za psie pieniądze wielkim koncernom chemicznym, aby dzięki tym niewielkim kwotom można było kupić potrzebne towary przywożone z Ziemi. Inne prowizorycznie zmontowane urządzenia syntetyzowały część żywności. Ale w większości nauczyli się korzystać z tego, czego dostarczał im Mars.

Doc Feldman uczył się od nich. Pieniądze nie były już częścią jego życia. Jadł to samo, co korzystające z jego pomocy rodziny i wtopił się w toczące się wokół niego życie.

Uczył się też medycyny marsjańskiej i ze zdumieniem stwierdził, że ziemskie kursy, były w większości przypadków bezużyteczne. Nie należało się więc dziwić, że mieszkańcy wsi nie ufali lekarzom Lobby. Doc miał swoje własne laboratorium, w którym rozpoczął produkcję przystosowanej do organizmów Marsjan penicyliny. Prymitywny antybiotyk, ale zawsze lepsze to niż nic.

Właśnie przyjechał do niego Jake, żeby przypomnieć mu o jego pierwszej rocznicy, i obaj siedzieli razem, rozmawiając i paląc brakę.

– Zwyczajne szczęście, Jake – powtarzał Doc. – Twoi Marsjanie są twardzi. Ale przy takim słabym wyposażeniu, jakie mam do dyspozycji, po prostu pewnego dnia ktoś pozostający pod moją opieką musi umrzeć.

Jake z wolna pokiwał głową.

– Być może, Doc. A być może pewnego dnia Mars wyzwoli się spod władzy Lobby. Powinieneś się o to modlić.

– I robię to... – Doc ugryzł się w język, uświadamiając sobie co właśnie zaczął mówić. Starzec zachichotał.

– Nawołujesz do buntu już od kilku miesięcy, Doc. Słyszałem plotki. Ilekroć się wściekniesz, chcesz żebyśmy się oderwali od Ziemi. Ale tak naprawdę, to jeszcze nie jesteś do tego przekonany. Nie potrafisz

wyobrazić sobie innego rządu, niż obecny, do którego ciągle jesteś przyzwyczajony.

Doc roześmiał się z zakłopotaniem. Jake trafił go bez pudła, ale nie poczuł tego tak mocno, jak byłoby to jeszcze kilka miesięcy temu. Miasteczka rządzone przez Lobby stały się tylko kiepską imitacją Ziemi, ale tutaj, w dużym stopniu oderwani od jakiegokolwiek lobby mieszkańcy wsi, kształtowali Marsa na swój własny sposób. Ich rozwiązania mogły wydawać się dziwne, ale działały.

Jake przesunął się tak, by jego ciało mogło złapać trochę słabego światła słonecznego.

– Wioska Newton zapomniała na czas zgłosić zgon. Słyszałem, że Ryan wyciska z nich siódme poty, próbując udowodnić, że to był twój błąd.

Jak dotąd nie było przeciwko niemu żadnych dowodów, Doc był tego pewien. Ale Chris wychodziła z siebie, żeby coś znaleźć, i zdobyć reputację administratora najwyższej klasy. Musiało ją mocno zaboлеć, kiedy wysłali ją tutaj, na stanowisko szefa gorszej półkuli Marsa. Przecież wcześniej miała zamiar wykorzystać Feldmana jako figuranta, podczas gdy ona sama stałaby się faktycznym szefem całego lobby. Teraz więc usiłowała przygotować kontratak przeciwko niemu.

– Stosuje nawet szantaż – powiedział, i w jego głosie zabrzmiały resztki dawnej goryczy. – Każdy, kto w tym regionie skorzysta z pomocy zielarza, jest odcinany od świadczeń Lobby Medycznego. Cholera, Jake, to może oznaczać pozostawienie ludzi na pewną śmierć!

– Taaaa... – miękko westchnął Jake. – Ale to może także oznaczać skłonienie ludzi do tego żeby zaczęli myśleć o uwolnieniu się od Lobby. No cóż, potrzebuję kogoś do pomocy przy zbiorach braki. Wziąłbyś sobie może chwilowo trochę wolnego, co Doc?

– W porządku, Jake. Ale przestań utrzymywać przede mną w sekrecie poważniejsze przypadki. W zeszłym miesiącu zmarło dwu ludzi, ponieważ nie chciałeś wezwać mnie na zabieg. Już dawno temu złamałem wszystkie złożone przysięgi. Teraz, to już nie ma żadnego znaczenia.

– Ależ ma znaczenie, mój chłopcze. Jak do tej pory miałeś szczęście, ale pewnego dnia któryś z twoich byłych pacjentów trafi do szpitala, i tam odkryją twoją dawną robotę. Wtedy naprawdę będzie po tobie. Im mniej robisz, tym lepiej.

Doc przyglądał się przez chwilę, jak Jake wychodzi, a później udał się do małej podziemnej piwniczki i zszedł do ukrytego pomieszczenia, znajdującego się za nią. Tam właśnie znajdowało się jego skromne laboratorium. Chwilowo, nie miał nic innego do roboty i mógł zająć się tajemnicą czarnych plamek.

Często miał z nimi do czynienia... zawsze na ciele kogoś, kto, jak się wydawało, umarł na jakąś normalną chorobę. Bez mikroskopu był niemal bezradny, ale pobierał próbki, i próbował hodować na nich różne kultury drobnoustrojów. Pewne z jego kultur wzrastały, chociaż mogło to być spowodowane również przez nieznanne mu marsjańskie grzyby lub bakterie. Mars był suchy i niemal pozbawiony powietrza, ale rośliny i niektóre małe owady przetrwały na nim i zaadaptowały się. W żadnym wypadku nie był planetą pozbawioną życia.

Bez mikroskopu mógł zrobić niewiele, ale postęp prac zależał także od jego rejestrów historii przypadków. Dzisiaj jednak pojawiła się pewna nowa informacja. Jeden z mieszkańców wsi ukradł z traktora prowadzonego przez Chris Ryan ziemski *Medical Journal*, i przekazał go w jego ręce. Znalazł w nim wzmiankę o czarnych plamkach, w jednym z artykułów poświęconym chorobom skórny. Ponieważ wszystkie przypadki występowały wśród ludzi spożywających syntetyki, przeprowadzone zostały badania ich diety.

Był też inny artykuł o nienormalnych przypadkach. Kilka dziwnych, małych różnic w zachowaniu wśród klasycznych syndromów. Studiował go, z namysłem. To musiała być ta sama sprawa. Dieta nie miała znaczenia, wobec faktu, że plamki pojawiały się jedynie w przypadku gdy pacjent był bliski śmierci.

Również nie powinna mieć ona znaczenia dla występowania twardego guza u podstawy karku, który znalazł we wszystkich przypadkach, jakie udało mu się przebadać. Być może to tylko nic nie znacząca koincydencja, ale mocno w to wątpił.

Cokolwiek by to nie było, potęgowało działanie każdej innej choroby, na jaką cierpiał pacjent i powodowało, że te pozornie proste choroby, prowadziły do gwałtownych i śmiertelnych skutków. Kiedyś już syfilis nazywany był „Wielkim Naśladowcą”. W tym przypadku można było spodziewać się czegoś znacznie gorszego.

Pokręcił głową, przeklinając swoje braki w wyposażeniu. W każdym kolejnym miesiącu coraz więcej ludzi umierało na te plamki. A on był zupełnie bezradny.

Nagle otworzyły się ukryte drzwi i do środka wsadził głowę chłopak.

– Doc, jest tu jakiś człowiek z Einsteina. Mówi, że jego żona umiera.

Mężczyzna już wciskał się za nim do pomieszczenia.

– Doc, ona jest poważnie chora. Ma bóle brzucha, gorączkę i zaczęła wymiotować. Bóle podbrzusza, takie jak już miała kiedyś. Ale tym razem to wygląda okropnie.

Doc rzucił mu kilka pytań, marszcząc coraz bardziej brwi w miarę jak padały kolejne odpowiedzi. Potem zaczął pakować kilka nowych rzeczy, które mogły mu się przydać. Na Marsie nie powinno być problemu z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Czynniki za nie odpowiedzialne, nie powinny działać w przypadku marsjańskiego pożywienia. Ale coraz więcej różnego rodzaju infekcji znajdowało sposób na przekroczenie tej bariery. Miał wrażenie, że niektóre z nich, takie jak gangrena, były zdolne do pokonania jej bez żadnych modyfikacji. Jak na razie tego skoku nie zrobiła na szczęście żadna z chorób zakaźnych, poza polio i zwykłym przeziębieniem.

Brzmiało to jak zaawansowane stadium, być może będzie miał już do czynienia z zapaleniem otrzewnej.

Jak dotąd miał szczęście z penicyliną, ale za każdym razem, w przypadku pacjentów zaadaptowanych do Marsa, używał jej z poważnymi wątpliwościami. Jednak jeśli wyrostek robaczkowy się rozplynął, był to jedyny możliwy sposób leczenia.

Przetrzęsnał swoje zapasy lekarstw. Na szczęście miał dosyć eteru. Mieszkańcy wsi wytwarzali go dla niego, z roślin marsjańskich, z wykorzystaniem złożonych procesów fermentacji. Wrzasnął na Jake'a i chłopak w chwilę później, przyprowadził starca z powrotem.

– Jake, potrzebuję więcej tego środka narkotycznego. Nie chcę żeby ta kobieta jęczała i skarżyła się na bóle, kiedy skończy się działanie eteru.

– Nie mogę go zdobyć, Doc. – Wydawało się, że kiedy Jake to powiedział, zamgliły mu się lekko oczy. – Zepsuło się urządzenie destylujące. Doc, nie podoba mi się ta cała sprawa. Ta kobieta trzy razy była już w szpitalu. Słyszałem, że ostatnio po prostu wyszła. To może być oszustwo, albo oni myślą, że nie są w stanie jej pomóc.

– Boją się cokolwiek robić z ciałem zaadaptowanym do Marsa. Nikt nie udowodni im błędu, jeżeli nie zrobią niczego. – Doc skończył pakować swoją torbę i był gotowy do wyjścia. – Jake, albo jestem lekarzem, albo nie. Nie mogę przejmować się takimi sprawami, kiedy ta kobieta może właśnie teraz tam umiera.

Na sekundę, na twarzy Jake'a pojawił się upór. Potem kurze łapki wokół jego oczu znowu się pogłębiły i suchy chichot wrócił mu do głosu.

– Racja, doktorze Feldman.

Przekręcił kciuk do góry i szurając nogami pomaszerował, w kierunku traktora. Lou i człowiek z Einsteina wsiedli do maszyny dopiero po Docu.

Podróż przebiegała w milczeniu, nie licząc pytań Doca o chorą kobietę. Jej mąż, George Lynn, odpowiadał wymijająco i prawdopodobnie niewiele wiedział. Zdradził, że Harriet była w przychodni i niewielkiej izbie chorych, którą w Southport nazywano szpitalem.

Było to jedyne miejsce na całej półkuli południowej, gdzie można było legalnie przeprowadzić jakąkolwiek operację. Większość pacjentów przewożono stamtąd do Northport, ale Chris próbowała rozszerzyć jego działalność. W widoczny sposób była zdeterminowana, aby przekształcić Southport w kolejne duże centrum, zanim zostanie odwołana z powrotem za Ziemię.

Doc zastanawiał się, dlaczego mieszkańcy wsi tam poszli. Nie mieli ubezpieczenia medycznego w Lobby, nie mogli sobie na nie pozwolić. Ponadto większość mieszkańców wsi nie miała również pieniędzy. Byli zmuszani do zastawiania przyszłych plonów, swoich i całej rodziny, w fabrykach leków prowadzonych przez Lobby.

– I tak po prostu odesłali stamtąd pańską żonę z kwitkiem? – spytał Doc. Najzwyczajniej w świecie nie mógł uwierzyć, że Chris mogła to zrobić.

– No cóż, nie wiem. Nie chciała za dużo mówić. Pojechała tam dwa razy, i coś jej tam dawali. Kosztowało to każdy grosz jaki tylko byłem w stanie pożyczyć. Dopiero ostatnim razem potrzymani ją kilka dni, zanim wezwali mnie żebym przyjechał i ją zabrał. Ale teraz czuje się dużo gorzej.

Jake odwrócił się z nagłym napięciem.

– George, a jak zapłaciłeś ostatnim razem?

– Nic, nie żądali. Mówiłem jej, że może zaproponować sześć miesięcy ode mnie i od dzieciaków, ale nikt nie powiedział nawet słowa na ten temat. Po prostu mi ją wydali. – Powoli zmarszczył brwi, a jego posępny

głos zabrzmiał niepewnie. – Powiedzieli mi, że zrobili wszystko co mogli, i żeby już jej do nich nie przywozić. To dlatego tak bardzo nalegała na to, żeby wezwać Doca.

– Nie podoba mi się to – powiedział Jake stanowczym tonem. – Coś tu śmierdzi. Oni zawsze żądają zapłaty. George, czy to oni sugerowali, aby skontaktowała się z Docem?

– Może tak, może nie. Wszystkie rozmowy z nimi prowadziła Harriet. Ja tylko robię, to co mi powiedziała, a ona kazała wezwać Doca.

Jake zaklął.

– To śmierdzi pułapką. Czy jesteś pewny, że ona jest chora, George?

– Sprawdzalem jej czoło, i z całą pewnością miała gorączkę. – George Lynn był rozdarty między lojalnością w stosunku do żony i do Doca. – Znasz mnie, Doc. Wyleczyłeś mnie wtedy, kiedy miałem ten krwawiący wrzód. Nigdy bym nie wystąpił przeciwko tobie.

Doc czuł przez skórę, że Jake prawdopodobnie ma rację, ale nie zgodził się na sugestię, aby się zatrzymali i rozejrzeli, czy gdzieś w okolicy nie ma jakichś szpiegów. Nie mieli na to czasu. Jeśli kobieta była naprawdę tak bardzo chora, musiał dostać się do niej jak najszybciej, a nawet już teraz mogło być za późno.

Pamiętał słabo kobietę z wcześniejszego leczenia. Kilka miesięcy temu wymusiła usunięcie chorych migdałów. Skarżyła się i narzekała, ponieważ nie mógł poświęcić całego swojego czasu, na opiekę nad nią. Była gderliwą jędrą i kobietą całkowicie samolubną. Ale to było już zmartwienie jej męża, a nie jego.

Kiedy dotarli do Einstaina, i wbiegł do małego domku, na pierwszy rzut oka wszystko zgadzało się z tym, co powiedział George Lynn. Kobieta była poważnie chora. Miała wysoką gorączkę. Dużo za wysoką.

Zaczęła się skarżyć i protestować, że jego przyjazd trwał za długo, ale ból wkrótce zmusił ją do zamilknięcia.

– Ciągłe może mieć jeszcze szansę – szorstko powiedział Doc do jej męża. Wyjął na stół najczystsze prześcieradło i rozłożył je pod samotną lampą.

– Trzymajcie się z daleka, najlepiej wyjdźcie do drugiego pokoju, jeśli się tam wszyscy zmieścicie. Tu i tak nie ma ścisłej aseptyki. Jeśli chcecie pomóc, to nagotujcie dużo gorącej wody.

To powinno dać im coś do roboty, a on będzie mógł potem wykorzystać wodę do umycia. Teraz jednak nie było czasu, żeby na nią czekać. Musiał wysterylizować wszystko alkoholem, kwasem karbolowym i nadzieją. Pochylił się nad kobietą, rozcinając w poprzek jej cienką sukienkę, aby zrobić miejsce dla operacji.

Potem zaklął.

W poprzek jej brzucha widoczna była niezagojona rana po poprzedniej operacji. W Southport pracowali nad nią. Musieli usunąć wyrostek robaczkowy, ale później przeraziły ich symptomy infekcji. Nie powinni zwalniać chorej pacjentki, ale to było dla nich najprostsze wyjście. Dzięki temu mogli wyeliminować groźbę, że stanie się ona źródłem nieznanego zakażenia. Jacyś lekarze musieli oszołomić ją środkami uspokajającymi i przeciwbólowymi, a potem odesłać ją do domu, wiedząc, że będzie chciała

wezwać jego. Pewne znaczenie mogło mieć również i to, że prawdopodobnie zauważyli u niej niezarejestrowane usunięcie migdałów, i uznali ją za dobrą przynętę.

Chwycił eter i położył na jej nosie maseczkę. Próbowала protestować, nigdy w niczym nie współpracowała. Ale opary eteru, którym polał środek maseczki, wkrótce to uspokoiły.

Oczywiście, to było zapalenie otrzewnej. Jedyne co mógł zrobić, to dostać się do środka, pousuwać zainfekowane resztki i oczyścić najlepiej jak tylko można. To była parszywa praca, trudna do zrobienia, i powinien mieć kogoś do pomocy. Ale zacisnął zęby i zaczął operować. Nie mógł narażać nikogo innego, nawet na tyle by podawał mu narzędzia.

Oczyścił zakażenie najlepiej jak tylko potrafił, wiedząc że niemal nie ma szans. Użył tyle penicyliny, ile tylko się ośmielił. Następnie zaczął zszywać rozcięcie. To wszystko, co mógł zrobić, poza przyłożeniem na ranę sterylnego opatrunku. Wyciągnął rękę po jeden... i zatrzymał się.

W czasie gdy on pracował, kobieta zmarła, dużo ciszej niż kiedykolwiek żyła.

Był to chyba jedyny akt łaski w jej życiu. Ale dla Doca było to przekleństwo. Nie mogli ukryć jej śmierci, a każde śledztwo wykazałoby bez trudu, że ktoś ją operował. Dla Lobby byłaby to ta sama osoba, która ją zamordowała.

Jake czekał w traktorze. Wystarczyło, że rzucił tylko jedno spojrzenie na twarz Doca i nie dopytywał się dalej.

Byli ponad milę stamtąd, gdy Jake wskazał ręką w tył. Ledwie widoczny z oddali, ale wyraźnie wyróżniający się na tle piasków, jechał szary traktor Korpusu Medycznego. Albo mieli szpiega we wiosce, albo bardzo precyzyjnie ocenili stopień jej infekcji. Musieli mieć nadzieję, że złapią Doca na gorącym uczynku, a ledwie, ledwie spudłowali.

Nie miało to zresztą większego znaczenia. Zrobione przez nich zdjęcia i zeznania, jakie mogli wymusić od wsi, powinny z nawiązką wystarczyć, do tego by go powiesić.



VI Badania

Kolejnej nocy po śmierci Harriet Lynn odbyła się narada. Jakims sposobem złe wieści rozeszły się po wioskach, i ich przywódcy zebrali się we wsi Jake'a. Nie udało im się jednak znaleźć żadnego rozwiązania i po dłuższym zastanowieniu zmuszeni byli zaakceptować decyzję Doca.

– Nie mam zamiaru zrezygnować i zacząć się ukrywać – oświadczył im, sam trochę zaskoczony podjętą decyzją, ale absolutnie zdeterminowany. – Potrzebujecie mnie, a ja potrzebuję was. Będę się przemieszczał codziennie, w nadziei że policja Lobby mnie nie znajdzie, ale nie mam zamiaru odpuścić.

Teraz pakował najbardziej potrzebne mu rzeczy i przygotowywał się do przeprowadzki. Małe butelki, w których próbował rozmnożyć kultury zarażonych tkanek wymagały ciepła. Wepchnął je do jednej z wewnętrznych kieszeni i zaczął przeglądać resztę dobytku, zastanawiając się co musi zostawić.

Właśnie szedł już w stronę swojego traktora, kiedy podjechała inna sponiewierana maszyna. Siedziała w niej mniej więcej czternastoletnia dziewczynka, której po twarzy spływały strumienie łez. Wyciągnęła rękę w błagalnym geście, a w jej głosie brzmiało przerażenie.

– To... to mama!

– Gdzie?

– Leibnitz.

Leibnitz był dosyć blisko. Doc uruchomił traktor, kiwając na dziewczynkę, żeby pokazywała mu drogę. Małe mieszkanie, do którego go zaprowadziła, znajdowało się na samym skraju wioski i wyglądało na jeszcze bardziej dotknięte ubóstwem niż zwykle.

W środku siedzieli i czekali Chris Ryan i trzech policjantów Lobby Medycznego. Matka dziewczynki leżała przywiązana do łóżka, z rozłożoną kolekcją instrumentów medycznych obok niego, ale widocznie wystarczyła sama groźba. Nie zadano jej żadnych rzeczywistych ran. Prawdopodobnie tak na poważnie, niczego nie zamierzono zrobić.

– Wiedziałam, że odpowiesz na tego typu wezwanie – zimno stwierdziła Chris.

Zaśmiał się szyderczo. Naprawdę nie traciła czasu.

– Jak widziałem, ty zrobiłaś znacznie więcej, Chris. Gratulacje! Moja pacjentka zmarła. Musisz być naprawdę szczęśliwa.

– Była martwa z całą pewnością, kiedy moi ludzie robili jej zdjęcia. Na odbitkach bardzo wyraźnie widać śmiertelny grymas na jej twarzy.

– Fajnie. Opraw sobie je w ramki i zachowaj dla podniesienia ducha, kiedy będziesz się czuć samotna – przyciął jej.

Uderzyła go w usta rękojeścią trzymanej w ręku broni. Potem odwróciła się i wybiegła szybko przez drzwi, kierując się do swojego traktora, który zakamuflowany wyglądał zupełnie tak samo jak jeden z używanych przez mieszkańców wsi. Trzech policjantów wyprowadziło go tuż za nią.

Po jakimś czasie wszczęto alarm, i ludzie wybiegli na główną ulicę wioski. Było już jednak za późno. W pewnej chwili, kiedy dojeżdżali już do Southport, Doc dostrzegł jadący za nimi długi ogon rozklekotanych traktorów, ale było to wszystko, co ludzie mogli zrobić. Chris miała w ręku swojego więźnia i wszystkie niezbędne dowody.

Sędzia Ben Wilson mógłby być bratem Jake'a. Był trochę starszy od niego i bardziej siwy, ale wyraz jaki nosił na twarzy, był niemal identyczny. Musiał chyba być czarną owcą rodziny, ponieważ jego ojciec był prezesem Lobby Kosmicznego. Zamiast odziedziczyć prestiż i stanowisko po nim, Wilson pozostał na Marsie, bezpiecznie daleko od rodzinnego biznesu.

Rzucił jakiś papier, który właśnie czytał, żeby spojrzeć z poważnym wyrazem twarzy na Chris.

– To ten gagatek?

Zaczęła prezentować formalne oskarżenie, ale uciął jej w pół słowa.

– Pani prawnik przedstawił mi już zarys całej tej sprawy, pani doktor. Doktor! Hmf! Zrobiłaby pani dużo lepiej zostając w domu i wychowując gromadę dzieci. No dobrze, młody człowieku... a więc, to ty jesteś Feldman. Okej, twoja rozprawa rozpocznie się pojutrze. Co tu z tobą zrobić... To byłby wstyd zamykać w więzieniu w Southport, takiego człowieka jak ty. No cóż, po prostu zatrzymamy cię tutaj, w poczekalni sali rozpraw. Będzie ci znacznie wygodniej.

W trakcie, kiedy to mówił, Chris powoli robiła się coraz bardziej czerwona, a na koniec wydawało się, że zaraz wybuchnie.

– Sędzio Wilson, pańskie metody w sprawach lokalnych są wyłącznie pańską sprawą. Ale ta związana jest z ziemskim Lobby Medycznym. Ja żądam...

– Ćśśś, ćśśś! – Sędzia utkwiał w niej wzrok z potępieniem. – Młoda damo, pani nie może niczego żądać. Jesteśmy na Marsie. Ponieważ Lobby Kosmiczne mnie popiera, tak więc myślę, że pani przyjaciele kierujący Medycznym, zrobią to również. Czy mam może przeprowadzić rozprawę natychmiast i uznać Feldmana za niewinnego, z powodu braku dowodów?

– Nie robi pan tego! – krzyknęła Chris. Potem nagle na jej twarzy pojawiło się otrzeźwienie. – Proszę mi wybaczyć. Lobby Medyczne oczywiście ma przyjemność pozostawić sprawę w pańskich rękach.

Wilson uśmiechnął się.

– Na dzisiaj zamykamy więc rozprawę, Doc. Chodźmy, pokażę panu pańską celę. Jest zaraz za moim gabinetem, tak więc i tak idę w tym kierunku.

Zaczął podciągać sobie togę, podczas gdy Chris wyszła z policjantami. Z oddali ciągle dobiegał do nich jej ostry głos.

Ale starzec machnął za nią ręką.

– Zapomnij o tym. Naprawdę chciałbym, żeby tę małą jędzę jak najszybciej stąd odwołali. Ale nie licz na to, że będę dla ciebie miękki. Moje metody mogą wydawać się co nieco niezwykle... ale Lobby Kosmiczne nigdy nie miało powodów, żeby protestować przeciwko moim decyzjom. Czy czegoś może ci potrzeba?

– Pewnie – powiedział Doc, śmiejąc się szyderczo mimo odczuwanej goryczy. – Dobrego laboratorium biologicznego z mikroskopem elektronowym.

– Umm. A co powiesz na dobry mikroskop optyczny i trochę barwników? Właśnie odebrałem go w ostatniej dostawie. Domyślam się, że pewnie i tak był dla ciebie, ponieważ to Jake Mullen prosił mnie o jego zamówienie.

Wyszedł i niemal natychmiast wrócił ze sporym pudłem. Prychnął na niedowierzające podziękowania Doca, i poszedł sobie, a jego lacie klapały głośno o twardą podłogę.

Doc przez dłuższą chwilę spoglądał za nim. Może rzeczywiście był przyjacielem Jake'a, i chciał znaleźć jakąś wymówkę, by dać mu tu mikroskop... ale to po prostu nie miało znaczenia. Przyjaciół czy wróg, kara śmierci będzie tak samo skuteczna. Ale teraz i tak miał inne sprawy, o których trzeba pomyśleć. Mały mikroskop był po prostu wspaniały, pomimo, że miał tylko jeden okular.

Ręce Doca lekko drżały, gdy wyciągnął swoje kultury zebranych tkanek i zaczął przygotowywać preparaty. Najlepszym źródłem światła było słońce blisko okna, tak więc ustawił odpowiednio instrument. Coś zaczynało się pokazywać, ale za słabo, by można było to naprawdę dobrze zobaczyć.

Próbując sięgnąć pamięcią do swoich kursów biologii, przypomniał sobie o barwnikach. Bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom, jego czwarta próba dała odpowiednie wyniki.

Przy dwutysięcznym powiększeniu, był już w stanie dostrzec szczegóły. W jego zanieczyszczonej kulturze znajdowały się tuziny komórek, ale jedynie jedna z nich wyglądała nieznajomo. Był to długi, robakowaty twór, zaokrąglony na obu końcach, z trzema oddzielnymi jądrami, co było typowe dla form życia marsjańskiego. Tuż obok można było zauważyć grupę nitkowatych wypustek, nieco za małą, by była ją dokładnie widać.

Marsjańskie życie! Nigdy dotąd nie zaobserwowano, by jakiegokolwiek drobnoustrój marsjański mógł być szkodliwy dla ludzi. Teraz jednak nie była to ani zmutowana komórka, ani ziemski wirus. To była zupełnie nowa choroba, całkowicie odmienna od wszystkich innych. Przypadek, w którym całe stulecia ziemskiego doświadczenia z bakteriami stały się bezwartościowe... pierwsza marsjańska choroba. Chyba, że okaże się to, po prostu przypadkowym zanieczyszczeniem jego kultury, które nie

wystąpi w innych próbkach. Pracował nad tym dopóki światło nie stało się zbyt słabe, dopiero wtedy odstawił mikroskop.

Do czasu rozpoczęcia rozprawy, był już jednak absolutnie pewien przyczyny choroby. *Była* ona marsjańska. Pomimo faktu, że jego kultury mogły być kiepsko oczyszczone, wykazały to z całą pewnością.

Mała sala rozpraw, wypełniona była po brzegi, w większości przez mieszkańców wioski. Był tam Lou, z grupą innych, których też musiał znać. Wtedy oczy Doca, przechwyciły spojrzenie Jake'a. Ten przeklęty osioł nie miał tu żadnych spraw; mógł przecież zostać naprawdę mocno wmieszany w cały ten bałagan.

– Sąd rozpoczyna posiedzenie – zaanonsował Wilson. – Doc, czy jest pan reprezentowany przez obrońcę?

Odpowiedział mu głos Jake'a.

– Wysoki Sądzie, ja reprezentuję pozwanego. Mam nadzieję, że Wysoki Sąd uzna moje upoważnienie za dostateczne.

Chris zaczęła protestować, ale Wilson wyszczerzył szyderczo zęby.

– O ile mi wiadomo, jak dotąd nie straciłeś swojego stanowiska, pomimo tej całej awantury trzydzieści lat temu. Ale kiedy już się tutaj pojawiłeś, policja pewnie miała nadzieję, że będziesz świadkiem. Myślałem, że zrezygnowałeś.

– Nigdy tego nie powiedziałem – odparł Jake.

Chris płonęła gniewem, ale rumiany mężczyzna, który reprezentował Lobby Medyczne, pokręcił tylko głową, pochylając się nad nią i szepcząc jej coś do ucha. Wyprostował się.

– Nie ma sprzeciwu dla obrony przez adwokata. Uznajemy jego upoważnienie.

– Jesteś głupcem, Matthews – powiedział do niego sędzia. – Jake, zanim został miejscowym, był sprytniejszy niż cała reszta Lobby Prawniczego razem wzięta. Ciągłe może cię nabić w butelkę. No dobra, przejdźmy do rzeczy. Za stary jestem na takie leniuchowanie.

Doc przestał śledzić bieg większości tego co się działo. Rozprawa przebiegała w sposób kompletnie niepodobny do scenariusza znanego mu z Ziemi, chociaż mogło być to w pewnej zgodzie z generalnym bałaganem panującym we wsiach. Być może zrytualizowana codzienność lobby, wypychała tych którzy mogli jej się do pewnego stopnia oprzeć, na przeciwległe ekstremum.

Chris była ostatnim świadkiem. Matthews uzyskał od niej opis poprzedniej zbrodni Feldmana, a Jake nie protestował, chociaż Wilson zdawał się tego oczekiwać. Potem zaczęła zastawiać swoje sieci. Nie wychodziło jej to może jakoś perfekcyjnie, ale naprawdę dobrze. Jake siedział cicho, lekko się tylko uśmiechając, i nie zgłaszając żadnych sprzeciwów.

Potem leniwie przeszedł do swojego przesłuchania Chris.

– Doktor Ryan, kiedy Daniel Feldman był po przybyciu na stację marsjańską sprawdzany przez kapitana *Navaho*, czy zidentyfikowała go pani wtedy jako doktora Daniela Feldmana?

Spojrzała na Matthews, który wydawał się być mocno zaintrygowany, ale spokojny.

– Tak, to prawda – przyznała. – Ale...

– I później również pani go widziała, już po wylądowaniu na powierzchni Marsa. Czy to także prawda? – Kiedy potwierdziła również i to, Jake na moment jakby się zawahał. Potem przybrał groźny wyraz twarzy. – I co pani wtedy zrobiła? Czy zgłosiła pani jego pojawienie, albo wysłała pani kogoś aby go odszukał lub coś podobnego?

– Z całą pewnością nie – odpowiedziała. – On nie był...

– Nie zrobiła więc pani, w związku z nim, zupełnie nic... Po tym jak go pani zidentyfikowała i widziała tutaj, na dole? Czy jest pani tego zupełnie pewna?

– Nie zrobiłam nic.

Jake przez chwilę stał w ciszy, a potem wzruszył ramionami.

– Nie mam więcej pytań.

Matthews zakończył sprawę w duchu obrony całej ludzkości przed niebezpieczeństwem stwarzanym przez takich ludzi jak Daniel Feldman. Wyglądał na zadowolonego z siebie, podobnie jak i Chris.

Wilson zwrócił się do Jake'a.

– Czy obrona ma coś do powiedzenia?

– Kilka kwestii, Wysoki Sądzie. – Jake wstał, nagle wyglądając na pewnego siebie i odprężonego. Jesteśmy szczęśliwi, mogąc przyjąć wszystkie fakty, którym Lobby dało świadectwo. Daniel Feldman wykonał operację chirurgiczną na osobie Harriet Lynn, we wiosce Einstein. Ale od kiedy to nielegalnym jest wykonywanie operacji przez członka zawodu medycznego, w obrębie zaakceptowanego obszaru dla takiej operacji, nawet jeśli szansa na sukces jest niewielka? Nie przedstawiono najmniejszego nawet śladu dowodu na to, że w ogóle mamy tutaj do czynienia z jakimkolwiek przestępstwem czy nawet nieetycznym działaniem.

To poderwało Chris i Matthews na równe nogi. Wilson z kolei się odprężył, wyglądając jakby nagle otoczyło go całe stado skowronków. Walnął głośno swoim młotkiem.

Jake podniósł ze swojego stołu dwa obdarte tomiszcza z oślimi uszami.

– Sprawa Harding przeciw Southport, 2043, stanowi, że Lobby odpowiada za każdego swojego członka przebywającego na terenie Marsa. Jest ono także odpowiedzialne za poinformowanie odpowiednich organów o każdym działaniu o charakterze kryminalnym, w którym wcześniej brali udział jego członkowie lub znani mu byli członkowie. Brak takiego zawiadomienia powinien być uważany za przyjęcie, że Lobby przyjmuje swego członka jako pełnoprawnego i akceptuje odpowiedzialność, za czyny przez tego członka podejmowane.

– W chwili, gdy Daniel Feldman przybył na Marsa, doktor Christina Ryan była najwyższym przedstawicielem Lobby Medycznego w Southport, z pełnymi uprawnieniami, wynikającymi z piastowania tego stanowiska. Zidentyfikowała ona pana Feldmana jako lekarza, nie wskazując na żadną zmianę w jego statusie. Ponadto nie poczyniła żadnych dalszych zgłoszeń, do żadnego organu władzy, dotyczących obecności Daniela Feldmana na tym terytorium. Wydaje się więc oczywistym, że Lobby Medyczne w

Southport zaakceptowało Daniela Feldmana jako pełnoprawnego lekarza, którego czyny pociągają za sobą całkowitą odpowiedzialność Lobby.

Wilson uważnie przestudiował książkę podaną przez Jake'a, i skinął głową.

– Jak dla mnie, wygląda to na całkowicie czyste – zgodził się, podając książkę Matthewsowi. – Pozostaje jeszcze zarzut, że doktor Feldman operował poza szpitalem.

– Nie ma powodu, dla którego by nie mógł tego zrobić – powiedział Jake. Sięgnął po drugie tomiście. – To jest przywilej Lobby Medycznego na Marsie. Lobby Medyczne zgadza się w nim na wykonywanie wszystkich niezbędnych usług chirurgicznych i medycznych na obszarze planety, aczkolwiek w momencie podpisania tego przywileju, na Marsie nie było jeszcze szpitala. Z konieczności więc Lobby Medyczne zgodziło się wtedy na wykonywanie operacji poza jakimkolwiek ośrodkiem medycznym. Ale aby uczynić to bardziej oczywistym, mamy tutaj również późniejszy paragraf, strona 181, który definiuje dla każdego szpitala strefę działania, rozciągającą się na obszarze nie mniej niż trzech oraz nie więcej niż stu mil. Wioska Einstein położona jest w odległości około stu dziesięciu mil od najbliższego szpitala w Southport, tak więc Einstein podpada pod regulacje oryginalnego przywileju. Doktor Feldman był zmuszony, poprzez zapisy przywileju do ochrony dobrego imienia swojego Lobby, poprzez podjęcie wszystkich niezbędnych zabiegów chirurgicznych w Einsteinie.

Począł aż Matthews przejrzeć dokładnie tę książkę, a potem zabrał ją z powrotem i zapakował do wielkiej torby. Doc zauważył, że wszystkie jego rzeczy i mikroskop, już wcześniej znalazły się w tej samej torbie. Starszy człowiek nie zwracał uwagi na protesty wygłaszane przez Matthews przed stołem sędziowskim.

Wilson gwałtownie wałnął młotkiem.

– Niniejszy sąd stwierdza, że doktor Daniel Feldman uprawniony jest do praktykowania wszystkich sztuk i umiejętności zawodu medycznego na terytorium Marsa oraz że zachował się etycznie podczas wykonywania swoich obowiązków w przypadku zmarłej Harriet Lynn – zarządził. – Kosztami postępowania obciążone zostaje Lobby Medyczne w Southport.

Podciągnął lekko togę i szybko wymknął się do swojej części prywatnej budynku. Rozprawa została zamknięta.

Doc był kompletnie oszołomiony, nadal nie ośmielając się w pełni uwierzyć w to co się przed chwilą stało. Ruszył w kierunku Jake'a, starając się nie wpaść na Chris. Niestety, ona miała inne zamiary. Stała tuż przed nim, wykrzykując oskarżenia, groźby i obelgi, które przypominały mu jedyną kłótnię, jaką mieli w czasie trwania swojego krótkiego małżeństwa.

Kiedy wystrzelała całą amunicję, w końcu napotkał jej wzrok.

– Jesteś fatalnym lekarzem – oznajmił jej szorstko. – Spędzasz cały czas na walce ze mną, w sytuacji kiedy pojawiła się zaraza, która może okazać się czymś gorszym niż jakakolwiek wcześniej znana nam choroba. Przyjrzyj się tym, którzy leżą pokryci na całym ciele czarnymi plamkami. Stwierdzisz wtedy bez trudu wystąpienie pierwszej marsjańskiej choroby. Ale jeżeli zaczniesz nad tym pracować od teraz, to może zdołasz się

nauczyć, jak być prawdziwym lekarzem, w czasie, w którym można jeszcze będzie coś z tym zrobić. Ale niestety, bardzo w to wątpię.

Dostarczył jej nowej amunicji.

– Badania! Wykonywałeś nieautoryzowane badania!

– Udowodnij to – zasugerował. – Ale dużo mądrzej, byłoby gdybyś sama spróbowała jakieś przeprowadzić, i do diabła z twoimi drogocennymi zasadami.

Wyszedł za Jakem na dwór, i dogonił go po drodze do traktora.

Z zaskoczeniem zorientował się, że starszy człowiek cały jest pokryty potem. Na widok Doca pokręcił tylko głową, i niepewnie wyszczerzył zęby.

– Matthews jest zupełnie niekompetentny – wyjaśnił mu. – Tym razem mogli cię mieć, Doc. Ten przywilej jest tak śliski, że przy jego pomocy można by udowodnić wszystko, cokolwiek się chce, a budowa tutaj szpitala przyniosła ze sobą ziemskie prawa. Wypuszczając cię, Wilson stanął na bardzo cienkiej gałęzi. Ale myślę, że jakoś uda nam się z tego wygrzebać. Teraz już jednak lepiej się stąd wynośmy.

Doc wspiął się na traktor z wyraźnym otrzeźwieniem. Tym razem udało im się wymknąć. Ale bez wątpienia będzie kolejny raz, i był absolutnie pewien, że wtedy to będzie runda Chris. Nie miał jednak zamiaru rezygnować ze swoich badań.

VII

Zaraza

Doktor Feldman uniósł wzrok znad mikroskopu i zapalił kolejny kawałek braki. Rozejrzał się po pokoju i westchnął ze znużeniem. Może lepiej by było gdyby nie miał przyjaciół i nie musiał ryzykować bezpieczeństwem innych, prowadząc badania, co było najgorszą zbrodnią na obydwu planetach.

Dowody prowadzonych przez Doca prac, skrywały się w podziemnej komorze, trzydzieści stóp za jego dawnym laboratorium we wsi Jake'a, do której prowadził tunel z drugiej piwnicy. Jak mówiła stara dobra teoria, najlepszym miejscem dla ukrycia czegoś, jest takie miejsce, gdzie już coś znaleziono. Jeśli ich szpiedzy znaleźli jego poprzednie mieszkanie, nigdy nie będą się spodziewali, że prowadzi swoje badania w jego pobliżu. Była to niezła teoria, ale tak do końca nie był jej pewien.

Jake popatrzył do góry, z pryczy na której leżał, obserwując jeden z zaimprovizowanych inkubatorów kultur tkankowych.

– Przestań rozdrapywać sobie rany, Doc. Wszyscy znamy ryzyko i pomimo niego jesteśmy naprawdę cholernie zadowoleni, że mamy tu ciebie i że pracujesz nad tym wszystkim.

– Spróbuję to jakoś sobie poukładać – obiecał mu Doc. – Bo zdaje się, że wychodzę na kompletnego durnia.

– Taaa... na pewno. Czasami trzeba pewne rzeczy zostawić do zrobienia durniowi, mądry człowiek za długo czekałby na nadejście właściwej chwili. Jak ci idzie polowanie na mikroba?

Doc chrząknął z niesmakiem i odwrócił się z powrotem do mikroskopu. Potem zrezygnował, ponieważ jego zmęczone oczy nie mogły złapać ostrości widzenia.

– Właściwie, to dlaczego nie zbuntujesz ludzi?

– Próbowali tego już dwa razy. Ale byli po prostu gromadą pariasów, przewiezionych tutaj, żeby żyć jak chłopci pańszczyźniani. Niewiele mogli zrobić. Za pierwszym razem Ziemia odcięła dostawy i wzięła ich głodem. Następnym razem mieszkańcy wsi znaleźli na to odpowiedź, ale miasta musiały walczyć dla Ziemi, albo przymierać głodem, tak że pobili nas. A do tego zawsze istnieje realne niebezpieczeństwo, że Ziemia może wysłać bezzałogowe rakiety bojowe z głowicami rozszczepialnymi.

– A więc to beznadziejne?

– Tego nie powiedziałem! Lobby zatruwają same siebie, na przykład odcinając kolejno wszystkich od opieki medycznej, aż do chwili, kiedy same odetną się od pracy. To tylko kwestia czasu. Wracaj do swoich mikrobów, Doc.

Doc westchnął i sięgnął po notatki.

– Chciałbym lepiej znać historię marsjańską. Zastanawiam się, czy ten mikroby nie jest może tym samym, który uśmiercił wszystkich pradawnych Marsjan. Coś musiało ich załatwić, sądząc po tym w jaki sposób zniknęli. Muszę chyba porozmawiać z kimś, kto badał te ruiny na zewnątrz.

– Durwood! – Jake podparł się na łokciu, wpatrując się z zaskoczeniem w Doca.

Doc popatrzył na niego spode łba.

– Myślisz o Clivie Durwoodzie? Tym archeologu, który odkrył wszystko to co wiemy o tych ruinach?

– Taaa, zanim wrócił na Ziemię i zaczął żyć ze swoich wykładów. Wrócił tu znowu, mniej więcej trzy lata temu, i umarł nagle w Edisonie po drodze do jakichś innych ruin. Mówili, że to ponoć niewydolność serca, chociaż wszystko wyglądało dosyć podobnie, jak w przypadku tych dwu starych farmerów, którzy w zeszłym miesiącu zabiegali się na śmierć. Widziałem go podczas pogrzebu. Jego twarz wyglądała zabawnie, i wydaje mi się, że miał na niej te małe plamki, chociaż mogłem coś źle zapamiętać. – Lekko się skrzywił. – Mars to twarda planeta, Doc. To musi być to. Jakies nasiona, które Durwood znalazł w tych ruinach wydają teraz swoje plony! Może te twoje mikroby czekały milion lat, dopóki tutaj nie przylecimy.

– A co z farmerami? Czy oni spotkali Durwooda?

Jake skinął głową.

– Musieli. Mieszkał w ich wiosce przez większość czasu swojego pobytu na Marsie.

Doc zaczął wertować zebrane notatki. Przeglądał opisy wszystkich zgonów, aż w końcu znalazł właściwe dane. Ci dwaj starsi ludzie już w czasie kilku poprzednich tygodni, zachowywali się nerwowo i niespokojnie. Byli bliźniakami, mieszkali sami, we dwójkę, i nikt nie zwrócił na to większej uwagi. Pewnego ranka zauważono, jak obaj szaleńczo biegają w kółko. Ludziom ze wsi, udało się ich złapać i związać, ale wkrótce potem umarli z wyczerpania.

Niestety nie wyglądało to wszystko zbyt dobrze. Choroba mogła mieć okres inkubacji wynoszący niemal piętnaście lat, przynajmniej oceniając to na to podstawie ilości czasu, jaki był potrzebny do tego aby powalić Durwooda. Musi przenosić się z człowieka na człowieka, podczas początkowego, zaraźliwego stadium, i teraz zatacza coraz szerszy krąg począwszy od Durwooda i tych którzy zostali zarażeni bezpośrednio przez niego. W stadium dojrzałym, może ją zamaskować jakaś inna choroba, dając swój własny zespół objawów. A bez właściwego leczenia, zaraza zabija swoje ofiary, najwidoczniej doprowadzając je do obłądu, zmuszającego do szaleńczego wysiłku fizycznego.

Znowu zaczął oglądać kulturę mikroorganizmów w badanym preparacie. Próbował przy pomocy metody Kocha otrzymać czysty preparat, namnażając drobnoustroje na podłożu rodzimym zawierającym dużo skrobi i zdejmując z niego poszczególne kolonie. Około dwudziestu uzyskanych w ten sposób próbek, zostało potraktowanych każdym środkiem chemicznym, jaki tylko był w stanie zdobyć. Jak dotąd znalazł kilka rzeczy, które zdawały się powstrzymywać ich wzrost, ale nic co by je

definitywnie zabijało, nie licząc środków zbyt groźnych, by można było je stosować na żywej tkance.

Miał już zebrane dane dotyczące niemal czterdziestu przypadków śmierci, wykazujących podejrzone symptomy, i teraz wrócił do nich, szukając jakiegoś elementu wspólnego, który mógł pojawić się dziesięć do dwudziestu lat przed śmiercią pacjenta. Nie było ani żadnej wysypki, ani pęcherzy. Niektórzy miewali częste przeziębienia, ale to było zbyt powszechne, aby mogło cokolwiek znaczyć.

Znalazł tylko jedną rzecz, która pojawiła się mniej więcej czternaście lat przed ich śmiercią. Ludzie pytani o ofiary mogli nie być pewni większości rzeczy, ale zapamiętali okres, kiedy „Jim miał potężne bóle głowy”.

– Jake – zawołał Doc. – A co z tymi silnymi bólami głowy. Wydaje się, że większość ludzi miała je wcześniej czy później, ale nie mam żadnego przebiegu takiego przypadku.

– Na pewno masz, Doc. Mała dziewczynka Mamuśki Brander, kilka tygodni temu. Czujesz się, jakby tętno miało na miejscu rozsadzić ci czaszkę. Nie możesz jeść, ponieważ żucie przyprawia cię o szaleństwo. Tył głowy, kark i ramiona puchną na około tydzień. Potem to przechodzi.

Potem to przechodzi... na czternaście lat, do czasu kiedy powróci by zabić!

Doc wpatrywał się w swoje notatki, z nagłą zgrozą. To była ta nowa choroba... myśłano nawet, że to jakiś wirus, ale uważano go powszechnie za niegroźny. Migrena Selznika -- zgodnie z praktyką medyczną, leczyło się ją gorącymi kompresami i anodyną, i dosyć szybko przechodziła.

Na Ziemi widział setki przypadków tej choroby. Muszą więc być miliony zarażonych. Gałąź farmaceutyczna Lobby, wypuściła nawet coś nazwanego Nograiną do użytku własnego przez pacjentów.

– Coś ważnego? – chciał dowiedzieć się Jake.

Feldman skinął głową.

– Jake, jak duże wpływy masz w innych wioskach?

– Określmy to tak, kiedy o coś poproszę, zazwyczaj ludzie robią mi tę grzeczność – przyznał Jake. – Taką jak przemycenie tych czasopism medycznych dla ciebie z Northport lub załatwienie Molly Badger posady służącej, by mogła szpiegować Chris Ryan. Powiedz, o co ci chodzi, a ja zrobię wszystko co się da.

Doc miał dosyć mgliste pojęcie o polityce we wioskach, ale zawsze miał ważniejsze sprawy na głowie. Większa część jego złego nastroju uleciała, z chwilą natknięcia się na ślad prowadzący do możliwego rozwiązania, i teraz zmartwieniem jego szefa było doprowadzenie spraw do końca.

Feldman przedstawił problem.

– Chcę otrzymać raport o każdym przypadku silnego bólu głowy w każdej wiosce. Kto go miał, kiedy, i w jakim był wtedy wieku. Przede wszystkim z tego miejsca, ale również z każdej innej wioski, do której możesz dotrzeć. Będę chciał również, aby ktoś dostarczył ode mnie list, do Chris Ryan.

Jake na te słowa zmarszczył brwi, ale wyszedł wydać odpowiednie instrukcje. Doc usiadł przy elektrycznej maszynie do pisania. List do Chris

może nic nie da, ale powinna przekazać chociaż jakieś ostrzeżenie na Ziemię, gdzie do zadania znalezienia przyczyny tej choroby i sposobu jej leczenia, będą mogły zostać rzucone potężne zasoby Lobby Medycznego. Związek z migreną Selznika także powinien zostać zgłoszony. Jeśli coś pozwoliłoby pchnąć Lobby do działania, to zupełnie nie ma znaczenia, jaką krzywdę mu ono wyrządziło. Nie był na tyle naiwny, aby oczekiwać od nich wdzięczności, ale zdążył już przywyknąć do idei, że jego dni są policzone. Zaraza była znacznie ważniejsza, niż to co się stanie z nim osobiście.

List został wyekspediowany, zaraz jak tylko wrócił Jake.

– Oto są tajemnice tej wioski. Wszyscy odpowiedzieli, z wyjątkiem ciebie.

– Nigdy tego nie przechodziłem, Jake – Feldman przebiegł wzrokiem listę. – Większość z nich miała bóle czternaście lat temu. To pasuje. Niemal jedynymi wyjątkami są dzieci, które prawdopodobnie będą je przechodziły między drugim a trzecim rokiem życia. Osiemdziesiąt siedem osób z dziewięćdziesięciu jeden.

Bezradnie wpatrywał się w otrzymane liczby. Większość mieszkańców tej wsi nie tylko, że była zarażona, ale musiała również zbliżyć się do końca okresu inkubacji choroby. Wyglądało na to, że większa część wsi będzie martwa przed końcem kolejnego roku.

– Niedobrze? – zapytał Jake.

– Pierwszy syndrom marsjańskiej gorączki.

Starzec zagwizdał, linie wokół jego oczu zbliżyły się do siebie.

– To musiałem być ja – zdecydował. – To ja jestem tym osłem, który wtedy musiał tutaj przywlec to cholerstwo. Niemal zawsze spędzałem z Durwoodem przy jego wykopaliskach, większość swojego czasu!

Do końca dnia i poprzez kilka następnych trwało nieustanne zamieszanie, w tym czasie gońcy niemal bez przerwy wyruszali do innych wiosek i wracali z nowymi informacjami. Różnice między poszczególnymi wioskami, były jednak jedynie nieznaczne. Większość ludności Marsa wydawała się chorować na zaawansowane stadium gorączki marsjańskiej.

Bez zwierząt laboratoryjnych do prowadzenia testów, prawdziwe badania były bardzo utrudnione. Doc potrzebował również mikroskopu elektronowego. Był w zasadzie pewien, że choroba musi się rozprzestrzeniać w organizmie poprzez system nerwowy, ale nie znalazł na to żadnego dowodu, poza występowaniem twardych guzów u podstawy karku. Wykryty w tamtym miejscu mikroorganizm, miał spore rozmiary. Nigdzie indziej nie mógł znaleźć niczego, aż do chwili pojawienia się czarnych plamek.

Bolały go już oczy od nieustannych prób znalezienia czegoś, czego nie było widać przez mikroskop. Nieustannie dręczyło go uporczywe przypuszczenie, że włókienka wokół jąder komórkowych mogą być zakaźną formą choroby. Mogły one być nawet prawdziwą postacią drobnoustroju, z otoczką w formie większej komórki, jedynie w stadium przejściowym. Było wiele chorób, pociągających za sobą złożone zmiany w organizmach, które je powodowały. Ale nie mógł być tego pewien.

W końcu ukrył twarz w dłoniach, próbując się skoncentrować, i na drodze czystego rozumowania osiągnąć to, czego nie mógł zrobić w żaden

inny sposób. Jednak nawet na tym obszarze brak mu było dostatecznej wiedzy. Był przecież lekarzem, a nie ksenobiologiem. Nauka metodyki prowadzenia badań była w szkole lekarskiej tabu, niedostępnym dla wszystkich poza niewielką grupą wybrańców.

Bez przerwy przychodziły nowe raporty, potwierdzające zagrożenie. Wyglądało na to, że ma do czynienia z najgorszą epidemią w historii ludzkości, i nie ma nikogo, kto mógłby zrobić z tym cokolwiek, nawet gdyby wiedział o zagrożeniu.

– Molly przysłała wiadomość, że twój list przyniósł pewne skutki – zameldował Jake. – Chris Ryan przyniosła do domu jeden z mikroskopów elektronowych i całą masę wyposażenia ze szpitalnego oddziału patologii. Myślisz, że będzie w stanie cokolwiek znaleźć?

Doc wątpił w to. Do diabła, nie udało mu się jej przekonać, aby tego spróbowała, chociaż mogła dostać autoryzację na przeprowadzenie eksperymentów. Ale to było do niej podobne, aby nie uwierzyć jego słowom, bez wcześniejszego sprawdzenia podejrzeń względem niego.

Próbował uspokajać się tym, że niektórzy ludzie są odporni, a przynajmniej tacy wydają się być; Mniej więcej trzy osoby na sto nie wykazywały oznak choroby. Jeśli ta odporność jest dziedziczna, to może ona uratować rasę. Jeśli nie...

Jake przyszedł o zmroku, z ponurą twarzą.

– Więcej wiadomości od Molly. Lobby rozpoczyna przeczesywanie wszystkich wiosek przy pomocy urządzeń geologicznych. Zaczynają od nas. A ta dziura będzie na nich widoczna jak na dłoni. Lepiej zacznij się pakować. Musimy stąd się wynieść nie później niż za godzinę.



VIII

Głupiec

Trzy dni później, Doc zobaczył swojego pierwszego biegacza.

Traktor niemal grzązł w piachu, kiedy tuż przed zachodem słońca, jechali w kierunku kolejnego przystanku na jedną noc, w nowej wiosce. Prowadził Lou, podczas gdy Doc i Jake siedzieli z tyłu głęboko zamyśleni, nie zwracając uwagi na kolory płonące nad wydrami. Dla Doca gra w kotka i myszkę rozpoczęła się na dobre. Nie było żadnej pewności, że wioska, do której właśnie się zbliżali, nie będzie celem Lobby, wybranym do kolejnej kontroli.

Lou nacisnął na hamulce traktora, gwałtownie się zatrzymując, i wskazał na coś ręką.

Poprzez jedną z niskich wydram biegła szaleńczo, jakaś męska postać, widoczna na tle małego czerwonego słońca. Zdawać by się mogło, że mężczyzna kieruje się w ich stronę, ale kiedy dotarł bliżej, natychmiast stało się oczywiste, że nie biegnie w żadnym określonym kierunku. Po prostu pędził, szaleńczo przebiegając nogami, tak jakby ścigały go wszystkie demony piekieł. Jego ciało zataczało się z wyczerpania, ale ręce i nogi ciągle pracowały.

– Zatrzymajmy go! – rozkazał Jake i Lou zawrócił traktor. Stanął nim w poprzek drogi biegnącego, tak że tamten uderzył w niego i upadł.

Jego nogi nie przestawały pracować, mężczyzna kopał nimi w pyle i żwirze, ale był za bardzo wyczerpany aby móc się podnieść. Jake i Lou wciągnęli go przez otwarte wejście do środka traktora, i po chwili Doc zdjął mu z twarzy aparat oddechowy.

Mężczyzna zyskał dzięki temu otwór wentylacyjny, umożliwiający wydawanie z siebie czegoś w rodzaju zawodzącego płaczu, który niemal natychmiast zaczął słabnąć i przerodził się w pojękiwanie, narastające i opadające zgodnie z rytmem w jakim poruszały się jego nogi. Przedtem wymizerowana twarz mężczyzny pokryta była potem, teraz jednak stała się sucha i zbieiała do poziomu ziemistej szarości.

Doc wstrzyknął mu tyle środka oszołamiającego, że starczyłoby do uspokojenia wściekłego byka. Nie przyniosło to jednak żadnego efektu, poza wytrąceniem z rytmu rąk i nóg. Nie minęło nawet pięć minut i człowiek umarł.

W tym czasie plamki wyraźnie się powiększyły, do rozmiaru kropek drukowanych dwunastopunktową czcionką. Guz znajdujący się na podstawie czaszki był wielkości małego kurzego jajka.

– Z Edisona, podobnie jak wszyscy inni, do tej pory. Jack Kooley – Jake odpowiedział na pytanie, którego Doc nie zdążył jeszcze zadać. –

Durwood spędzał tam wiele czasu podczas swej pierwszej ekspedycji, tak więc są w gorszej sytuacji niż inni.

Doc z powrotem naciągnął na twarz mężczyzny maskę aparatu oddechowego i położyli go na niewielkiej wydmy. Nie mogli ryzykować odwiezienia zwłok do jego bliskich.

To był dopiero pierwotny krąg zakażenia, bezpośrednio od samego Durwooda. Drugi krąg powinien być dziesięciokrotnie większy, ponieważ infekcja rozprzestrzeniała się od jednego chorego, poprzez niewielką grupę, aż do wielu ludzi. Jak dotąd była lokalizowalna. Ale to nie mogło potrwać długo.

Doc powoli schodził z traktora dźwigając swoje niewielkie zapasy sprzętu i lekarstw, podczas gdy Jake załatwiał dla nich miejsce na najbliższą noc, w pustynnym domu. Ale postać napotkanego biegacza i jego własne porażki poniesione przy próbach znalezienia czegoś więcej na temat tej choroby, nie dawały Docowi spokoju. Ponuro zaczął przygotowywać swój sprzęt.

– Lepiej chodźmy trochę się przespać – zasugerował Jake. – Jesteś znacznie bardziej zmęczony, niż ci się wydaje. W każdym razie, wydaje mi się, że sam powiedziałeś, że nie możesz zrobić nic więcej, ponad to co już zrobiłeś.

Feldman popatrzył na rzeczy, które porozrzucił dokoła siebie, i potrząsnął ze znużeniem głową. Wypróbował już każdy związek chemiczny i ich najróżniejsze kombinacje po kilkanaście razy. Bez żadnych rezultatów widocznych w ograniczonym powiększeniu mikroskopu optycznego.

Zatrzasnął z hukiem pudło i uderzył nasadą dłoni w prosty stolik, z którego korzystał.

– Są jeszcze inne możliwości. Jake, czy masz może jakiś ustalony sposób komunikowania się z Molly, w domu Ryan?

– Trzy stuknięcia w tylne lewe okno. Zawołam tylko Lou.

– Nie! – Doc zerwał się na nogi, sięgając po swoją kurtkę. – Szukają teraz trzech mężczyzn. Bezpieczniej będzie, jeśli pojadę sam. A poza tym przecież tylko ja wiem, czego właściwie potrzebujemy. Przy odrobinie szczęścia, być może nawet zdobędę mikroskop elektronowy. Czy masz jakąś broń, którą mógłbym pożyczyć?

Jake coś znalazł, stary rewolwer z kilkoma nabojami. Próbował protestować, ale Doc ostro uciął dyskusję. Jeśli natknie się na policjantów, to i tak trzech ludzi nie będzie mogło działać przeciwko nim więcej, niż jeden. Odwrócił się w stronę traktora.

– Może byś zaczął rozsyłać wiadomości o wszystkim, czego się dowiedzieliśmy. Lepiej będzie jeżeli ludzie wcześniej będą zdawać sobie sprawę z tego, czy są bezpieczni czy skazani, niż pozwolić im szaleć w celu uniknięcia zarażenia.

– Większość mieszkańców wiosek już to wie – powiedział mu Jake. – I do diabła, wróć tutaj, Doc. Jeśli nie da się niczego załatwić, szybko podwijaj ogon pod siebie i spróbujemy wymyślić coś innego.

Gdy Doc jechał przez ulice Southport, miasto wydawało się całkiem normalne. Budynek kina stereowizyjnego stał otworem, a małe sklepiki były jasno oświetlone. Zatrzymał się wcześniej, by wziąć z automatu kopię

małej gazetki Southport. Na jej pierwszej stronie również wszystko wydawało się być w porządku.

Jednak jak zwykle, istotne fakty ukryte były wewnątrz. Artykuł wstępny wylewał zbyt wiele oleju na wodę, angażując się bez żadnego widocznego powodu w kwestie związane z rolą Lobby Medycznego na Marsie. W nekrologach nie podawano już przyczyny śmierci. Służby medyczne musiały wiedzieć, co najmniej tyle, że coś się działo i zaczynały się tym martwić.

Zaparkował traktor za domem Chris i prześlizgnął się do właściwego okna. Wokół wydawało się że panuje spokój i cisza. W odpowiedzi na jego ciche pukanie, w oknie pojawił się niewyraźny cień i schwycił przelotne spojrzenie wyglądającej Molly. Chwilę później otworzyła tylne wejście aby wpuścić go do kuchni.

– Cśśś... Ona ciągle jeszcze jest na nogach. Co mogę dla ciebie zrobić, Doc?

Próbował się do niej uśmiechnąć.

– Ukryj mnie, dopóki nie będę mógł pójść bezpiecznie do laboratorium. Muszę zabrać...

Kopniak otworzył wewnętrzne drzwi kuchni, a za nimi stała Chris, trzymając w broń palną.

– Zabrało to co prawda, trochę więcej czasu, niż oczekiwałam, Dan. – powiedziała cicho. – Ale po twoim liście, wiedziałam już, że połknąłeś przynętę. Ty skończony durniu! Czy naprawdę myślałeś, że z powodu twoich imaginacji, rozpocząłabym prowadzenie jakichś badań?

Rzucił się powoli w tył, za zlewozmywak.

– A więc to była tylko wielka mistyfikacja? Nigdy nie było tutaj żadnego sprzętu laboratoryjnego?

– Sprzęt tu jest... w moim biurze. Miałam nadzieję, że twoi szpiegcy ci to przekażą, więc go tutaj przyniosłam. Ale to ci w niczym już nie pomoże, pariasie Feldman.

Wyprysnął ze swej skurczonej pozycji za zlewozmywakiem, jak rozwijająca się sprężyna. Spodziewał się, że Chris będzie do niego strzelać, ale miał nadzieję, że dzięki zaskoczeniu nie zdoła dobrze wycelować. Potem było już za późno, gdy jego but gwałtownie trafił broń, wykopując z jej ręki kobiety. Życie we wioskach nadspodziewanie go zahartowało. W jego rękach była stosunkowo bezradna. W kilka minut później była już bezpiecznie związana taśmą chirurgiczną, którą przyniosła Molly. Szalała wściekle na krzesło, na które ją rzucił, a potem się uspokoiła.

– Schwytają cię, Danielu Feldman! – Niespodziewanie w jej głosie nie było już wściekłości. – Nie dasz rady nam uciec. Ta planeta nie jest dostatecznie duża.

– Uciekłem z twojej rozprawy – przypomniał jej. – I uciekłem i przeżyłem, kiedy zostawiłaś mnie bez żadnych szans na powierzchni, w porcie kosmicznym.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Ty wtedy uciekłeś? Ty głupcze, a jak myślisz kto ci dał dodatkową baterię, tak abyś mógł przeżyć na tyle długo, by otrzymać pomoc w porcie

kosmicznym? Kto zatrudnił takiego osła jak Matthews, tak abyś nie dostał kary śmierci, na którą zasłużyłeś? Kto pozwolił ci działać przez całe miesiące jako zielarzowi, dopóki nie postanowiłeś jeszcze raz zabawić się w Boga i stać się zbawcą ludzkości?

To nim poważnie wstrząsnęło, prawdopodobnie zresztą dokładnie tak jak planowała. Skąd mogła wiedzieć o tej dodatkowej baterii? Przez cały czas zakładała, że to Ben wrócił i mu ją zostawił. Ale w takim przypadku Chris nie mogłaby przecież o niej wiedzieć. Potem jednak odsunął od siebie wątpliwości. Za dawnych czasów, Chris zawsze miała jakąś kartę atutową, której nie oczekiwał, ani nie mógł przebić. Tym razem jednak za wiele zależało od wyniku tej gry.

– Czy w okolicy są jacyś policjanci, Molly?

Molly wróciła jakąś minutę później z meldunkiem, że dookoła wszystko wygląda czysto i pokazała mu gdzie w gabinecie Chris stał porozstawiany sprzęt. Było tam niemal wszystko, włączając także mikroskop elektronowy, śliczny przenośny mały model. Miał tam nawet mały inkubator z wewnętrznym źródłem ciepła, do którego natychmiast przełożył małe buteleczki, które ogrzewał swoim własnym ciałem. Większa część urządzeń nie była nawet jeszcze rozpakowana, co nadzwyczajnie ułatwiło załadowanie tego wszystkiego na traktor.

– Lepiej jedź ze mną, Molly – zasugerował na koniec. Potem odwrócił się do Chris, która obserwowała go z kamiennym wyrazem twarzy. – Myślę, że najwyżej w ciągu pół godziny zdołasz przesunąć swoje krzesło do telefonu. Strąć telefon i krzycz, że potrzebujesz pomocy. Daję ci więcej niż na to zasłużyłaś, chyba że rzeczywiście to ty zostawiłaś mi tę baterię.

– Nie dasz rady wygrzebać się z tego wszystkiego – powiedziała mu znowu, tym razem spokojnie.

– Nie – przyznał. – Prawdopodobnie nie. Ale może rasa ludzka jakoś da radę, jeśli będę miał czas na znalezienie odpowiedzi na zarazę, której ty nie jesteś w stanie dostrzec, pod swoim własnym nosem. W przeciwnym przypadku zresztą, ty także się z tego nie wygrzebieasz. A na dłuższą metę cały nasz gatunek również nie.

Kiedy odjeżdżali, Molly pociągała nosem. To było prawdopodobnie najlepsze życie, jakie znała. Ale teraz praca Molly została zakończona i musiała zniknąć we wioskach. Zostawił ją w pierwszym z osiedli i w dalszą drogę pojechał sam. Świerzbiło go, żeby od razu sięgnąć po mikroskop, z najwyższym trudem był w stanie wytrzymać długą drogę powrotną do Jake'a. Jego niecierpliwość rosła z każdą przejechaną milą.

W końcu nie wytrzymał. Skręcił traktorem w małą dolinkę pomiędzy wydrami piasku, zostawił silnik na jałowym biegu, i ściągnął na dół zasłony używane przez mieszkańców wsi do podróży w zaciemnieniu. Miał dostatecznie dużo energii aby włączyć mikroskop, a kabina była na tyle obszerna, że wystarczało miejsca na to co miał zrobić.

Zamontował mikroskop na siedzeniu samochodu i zaczął przeglądać zebraną kolekcję wymazów i kultur. Minęły już całe lata, odkąd przygotowywał film dla mikroskopu elektronowego, ale zauważył, że wszystko to wraca do niego w miarę, jak pracował.

Ręce aż spoczęły mu się z napięcia gdy wkładał pierwszy film do komory mikroskopu. Ustawił „soczewki” magnetyczne na powiększenie dwadzieścia tysięcy razy, ale szybkie spojrzenie powiedziało mu, że było ono jeszcze za słabe. Wzmocnił powiększenie do pięćdziesięciu tysięcy.

Włókienka były tam, jasne i wyraźne.

Włączył mały magnetofon, który stanowił część wyposażenia laboratorium Chris, i umocował mikrofon w takim miejscu, by mógł do niego mówić zapisując jednocześnie pośpieszne notatki. Ostrożnie skorygował ostrość, prowadząc ciągle relację słowną.

Po chwili aż sapnął z podniecenia. Każde z małych włókienek, zawierało trzy ciemniejsze sekcje; każde z nich było komórką, kompletną samą w sobie, z typowym marsjańskim potrójnym jądrem.

Następnie włożył do komory film z małym odcinkiem tkanki nerwowej pobranej ze zwłok, i znów szybkie spojrzenie na ekran powiedziało mu wszystko. Włókienka w badanym preparacie były niemal wszędzie, gęsto stłoczone wzdłuż komórek nerwowych. A więc *rozchodziły* się poprzez nerwy, do osiągnięcia podstawy mózgu, w miejscu gdzie mógł uformować się większy guz.

Próbka z jednej z czarnych plamek, okazała się nawet jeszcze bardziej interesująca. Włókienka również tam były, ale przekształciły się lub akurat przekształcały, w małe okrągłe komórki, także z potrójnymi ciemnymi kropkami jąder. To musiała być ich postać końcowa, uwalniana w celu zarażenia kolejnych organizmów. Prawdopodobnie początkowo namnażały się bezpośrednio w tkance nabłonka, tak że powodowało to szybki postęp infekcji. Ostatecznie musiały formować włókienka, atakujące nerwy i wywołujące krótką gwałtowną reakcję organizmu, która nazywana była migreną Selznika. Potem ciało człowieka adaptowało się do nich i powoli zaczynały inkubować, tworząc duże komórki, jakie widział na początku. Gdy „dojrzały”, duże komórki rozdzielały się na miliony małych okrągłych, wędrujących do zakończeń nerwowych, powodując powstanie czarnych plamek i zabijając organizm nosiciela.

Teraz przynajmniej znał już swojego wroga.

Sięgnął do gałek sterujących, zwiększając powiększenie. Trochę tracił rozdzielczość, ale być może znajdzie coś więcej na krańcowych zakresach pracy mikroskopu.

Coś mokrego i zimnego trysnęło na jego twarz. Szarpnął się do tyłu, próbując to zetrzeć, lecz płyn od razu wyparował i w kabinie traktora rozszedł się gęsty, kwaśny odór. Chwycił swój aparat oddechowy, a następnie próbował dostać się do śluzy powietrznej. W jego ciele już wcześniej jednak zaczął rozprzestrzeniać się paraliż, tak że przewrócił się na podłogę, zanim zdołał uciec z pojazdu.

Kiedy doszedł do siebie, na zewnątrz był już poranek, a razem z nim w kabinie czekała Chris, w towarzystwie dwóch potężnych policjantów Lobby. Środek, który trzymała w ręce musiał posłużyć do jego ocucenia.

Dotknęła mikroskopu elektronowego z czymś zbliżonym do sentymentu.

– Technicy Lobby zrobili z tym dobrą robotę, nieprawdaż Dan? Ostrzegałam cię, ale nie chciałeś słuchać. A teraz mamy nawet twoje

własne, własnoręcznie przez ciebie nagrane, słowa dowodzące, że prowadziłeś nielegalne badania. Kretyn!

Potrząsnęła z politowaniem głową, podczas gdy dwaj policjanci uruchomili traktor i ruszyli prosto w kierunku Southport.

– Ty, i te twoje wydumane choroby. Niewielka dysfunkcja skórna, migrena Selznika i kilka przypadków psychozy, i już mamy nową chorobę. Czy ty myślisz, że Lobby Medyczne nie dałoby rady sprawdzić takich prostych rzeczy? Pewnie nie spodziewałeś się, że dojdą do nas wieści o twoim otwartym gadaniu o rewolcie, i nie zdajemy sobie sprawy z tego, że planujesz stworzenie jakiegoś nowego zarazka do zniszczenia ziemskich sił. Być może nawet ci twoi biegacze byli prawdziwi, ty masowy morderco!

Wyciągnęła ampułkę z kolejnym środkiem i wbiła mu igłę w ramię. Necrosynth, dostatecznie dużo, by utrzymać go bez przytomności przez dwadzieścia cztery godziny. Zaczął przeklinać ją w duchu, ale narkotyk zaczął działać zanim zdążył dokończyć myśl.

IX Wyrok

Doc obudził się, widząc zachodzące słońce zaglądające przez potężnie okratowane okno, które niewątpliwie musiało być oknem w oficjalnym więzieniu w Southport. Odczekał kilka minut aby w jego głowie trochę się przejaśniło i usiadł; necrosynth przynajmniej nie pozostawiał kaca.

Na zewnątrz rozległ się odgłos kroków, zakończony szczęknięciem klucza w zamku.

– Piętnaście minut, sędzio Wilson – powiedział jakiś głos.

– Dziękuję, panie strażniku. – Wilson wszedł do celi, niosąc tacę ze śniadaniem oraz egzemplarz Gazety Northport. Ze kieszeni zaczął wyciągać kawałki braki, podczas gdy Doc zaatakował śniadanie.

– Zagięli na ciebie parol, Doc – powiedział. – Nie masz najmniejszej szansy, a wioski nic nie mogą zrobić. Rozprawa została wyznaczona na jutro w Northport, i to na zamkniętej sesji. Tym razem nie zdołamy cię wyciągnąć.

Doc skinął głową.

– Dziękuję, że pan przyszedł, nawet jeżeli nic pan dla mnie nie może zrobić. I tak przez cały ostatni rok żyłem w pożyczonym czasie, tak więc nie mogę się skarżyć. Ale kto to jest „my”?

– Mieszkańcy wiosek. Od lat byłem częścią ich organizacji. – Starzec ciężko westchnął. – Można by powiedzieć, że rewolucja tliła się tu odkąd tylko pamiętam, chociaż większość mieszkańców wiosek nic o tym nie wiedziało. Po prostu czekaliśmy na właściwą chwilę. Teraz kończymy z czekaniem i wyciągamy strzelby... strzelby zrobione we wiejskich sklepikach. Wioski rozpoczynają powstanie, nawet jeżeli za miesiąc wszyscy mamy pomrzeć na zarazę.

Doc Feldman skinął głową i sięgnął po brakę. Wiedział, że była to, na swój sposób, próba dania mu do zrozumienia, że jego praca nie poszła na marne, i był wdzięczny Wilsonowi za jego wizytę.

– To był dla mnie dobry rok. Cholernie dobry. Ale mamy coraz mniej czasu. Lepiej krótko zrelacjonuję najnowsze informacje o zarazie.

Wilson zaczął sporządzać notatki, i zapisywał każde słowo, dopóki Doc nie skończył. W końcu usłyszał odgłos kroków dochodzących z korytarza.

– Coś jeszcze?

– Tylko przypuszczenie. Wiele zarazków ziemskich nie może żyć w ciałach zaadaptowanych do Marsa. Być może ten nie może przetrwać w warunkach ziemskich. Niech pan powie im ode mnie do widzenia.

– Do widzenia, Doc. – Krótko uściśnął mu rękę i czekał przy drzwiach, aż strażnik je otworzy.

Godzinę później, policja Lobby zabrała Feldmana promem raketowym do Northport. Po drodze mieli pewne kłopoty, ulicę przeciął biegacz, podczas gdy tłum w szaleńczym popłochu uciekał mu drogi. Paniczny strach dotarł już do miast.

Doc rzucił spojrzenie na Chris.

– Jak mniemam, histeria tłumu. Podobnie tak jak latające talerze? – zapytał zanim strażnik zdołał go powstrzymać.

W rakiecie zakuli mu nogi, ale ręce pozostawili wolne. Rozwinął gazetę, którą przyniósł mu sędzia Wilson i zagłębił się w jej lekturze. Wkrótce zaklął w duchu. Oni rzeczywiście *tłumaczyli* fenomen biegaczy, jako przypadek hysterii tłumu!

Northport było bardziej spokojne. Widocznie nie mieli jeszcze doświadczeń z pierwszej ręki, z zarazą. Teraz jednak Docowi nic już nie wydawało się w pełni realne, nawet kiedy zamknięto go w dużym więzieniu Northport. Po życiu we wioskach, cały rytuał Lobby wydawał się być snem lub wytworem wyobraźni.

Wkrótce jednak został przywrócony do rzeczywistości, kiedy przeprowadzono go do sali rozpraw w budynku Lobby Medycznego. Była to jakby zredukowana wersja jego rozprawy na Ziemi. Kompletny brak człowieczeństwa w procedurze, był czymś z na wpół zapomnianej i koszarnej przeszłości.

Urzędnik przewodniczący rozprawie zadał rutynowe pytanie:

– Czy więzień jest reprezentowany przez obrońcę?

Blane, elegancki oskarżyciel, szybko wstał.

– Więzień jest pariasem, proszę Wysokiego Sądu.

– Bardzo dobrze. Funkcję obrońcy więźnia, przejmuje sąd. Możemy kontynuować.

Ja będę sędzią, ja będę ławą przysięgłych. I oskarżeniem i obroną. To sprawiało o wiele mniej kłopotu. Oczywiście, gdyby Lobby Kosmiczne uznało, że ma w tym jakiś interes, mogłoby przenieść wszystko do, prawdopodobnie, bardziej obiektywnego sądu. Ale jak zwykle, Lobby Kosmiczne było zadowolone, mogąc pozostawić sprawę w rękach Medycznego.

Jako dowód odtworzono jego taśmę. Doc zmarszczył brwi. Słowa były jego, ale dokonano tam wielu skrótów, subtelnie zmieniających znaczenie jego notatek.

– Protestuję – rzucił wyzwanie. – To nie jest dokładna wersja.

Sędzia Lobby zwrócił ku niemu kamienną twarz.

– Czy więzień może przedstawić inną wersję nagrań?

– Nie, ale...

– Dowód zostaje więc zaakceptowany. Jeden z sześciu dozwolonych protestów, został przez więźnia wykorzystany.

Blane gładko się uśmiechnął i podniósł w górę małą paczuszkę.

– Chcemy przedstawić tę oto substancję, jako dowód potwierdzający fakt, że więzień jest nałogowym narkomanem, nieodpowiedzialnym moralnie w warunkach uzależnienia. Ten pakiet, zawiera tak zwane ziele braki, szkodliwą i podstępną substancję, znaną w jego rzeczach.

– Zawiera alkaloidy, które nie są bardziej szkodliwe niż nikotyna – ostro stwierdził Feldman.

– Czy zaprzeczy pan, że uważa jego smak za przyjemny? – zapytał Blane.

– Jest nieco gorzkie, ale przyzwyczałem się do jego używania.

– Próbowałem go – powiedział sędzia. – Dowód został zaakceptowany. Dwa sprzeczki, jeden z powodu nieregulaminowej formy zgłoszenia.

Doc wzruszył ramionami i z powrotem usiadł. Spróbował skorzystać ze swoich praw i efekt był dokładnie taki, jakiego oczekiwał. Trudno było mu teraz zrozumieć, jak w ogóle mógł kiedyś akceptować taką procedurę. Jake musi mieć rację; za długo żyli już pod uciskiem, i zamiast spojrzeć prawdzie w oczy, woleli trwać w błędzie biorąc jedwabną rękawiczkę żelaznej pięści i bata, za normalną uprzejmość władzy.

I wszystko toczyło się tak dalej, a on w rejestrowanym protokole sprawy stawał się coraz większym i większym potworem. W końcu jednak dobiegło to końca, i sędzia zwrócił się do Feldmana.

– Oskarżony może zaprezentować swoją obronę.

– Proszę o pełną swobodę wypowiedzi – formalnie powiedział Doc.

Sędzia skinął głową.

– Jesteśmy na zamkniętej rozprawie. Udzielam pozwolenia. Zapis protokołu zostanie zakodowany.

Ostatnie zdanie zrujnowało większość celów, jakie Doc miał na myśli. Było jednak już za późno na zmianę. Mógł mieć jedynie nadzieję, że chociaż niektórzy z obecnych na sali ludzi z Lobby, zapamiętają coś z tego co chciał powiedzieć.

– Nie ma nic do powiedzenia w swojej własnej obronie – rozpoczął. – I tak nie miałyby to znaczenia. Ale zrobiłem tylko to, co musiałem zrobić. Tam za zewnątrz rozwija się zaraza. Badałem tę chorobę, i zebrałem wiedzę, która musi zostać przeciwko niej wykorzystana ...

Po trzech minutach usiadł. To nie miało najmniejszego sensu.

Wstał Blane, ciągle z przyklepionym do swojej twarzy uśmiechem.

– Wiemy, oczywiście, o występowaniu nowej choroby zakaźnej, ale, jak wierzę, udowodniliśmy to, że jest ona rozsiewana przez samego oskarżonego, i sama z siebie prawdopodobnie nie jest zaraźliwa. Mieliśmy wiele przypadków fanatyków, gotowych do zniszczenia całej ludzkości, aby wyeliminować tych, których nienawidzą. Obecnie przecież sam więzień nie pozostawił najmniejszych wątpliwości, co do swojego nastawienia. Widzi siebie, jako posiadającego wiedzę większą niż cały ogół badaczy Lobby Medycznego. Próbował zastraszyć nas, stwarzając poważne zagrożenie. W ewidentny sposób jest typem psychopatycznym, oraz skrajnie niebezpiecznym. Oskarżenie zostaje podtrzymane.

Strażnicy zabrali Doca do poczekalni, w której nie powinien słyszeć niczego z dalszych obrad. Ale ciekawość stróżów prawa była większa niż ich zamiłowanie dyskrecji, tak więc drzwi pozostały nieco uchylone.

Sędzia rozpoczął naradę.

– Przypadek wydaje się całkiem niezły. Mamy szczęście, że doktor Ryan działała tak szybko, bo niektórzy ludzie stawali się już nieco nerwowi. Być może dobrym pomysłem byłaby publikacja naszego wyroku.

– Myślę dokładnie tak samo – zgodził się Blane. – Jeśli pokażemy, że Feldman jest odpowiedzialny za to wszystko, a także, że Lobby wyeliminowało źródło infekcji, mogłoby to przynieść efekt stabilizujący.

– Miejmy nadzieję. Wyrokiem będzie oczywiście kara śmierci. Nie możemy pozostawić takiego buntowniczego psychopaty przy życiu. Wydaje mi się jednak, że potrzeba czegoś więcej. Spodziewam się, że przygotował pan odpowiednie rekomendacje.

– Mielśmy kiedyś przypadek Albrechta Deliera – zasugerował Blane. – Coś podobnego powinno przynieść dobre skutki dla wizerunku publicznego.

Doca uderzył fakt, że brzmiało to, jakby sami w to wszystko wierzyli... tak jak łowcy czarownic wierzyli w czary i czarownice. Spocił się nieco, gdy strażnicy zaprowadzili go z powrotem przed oblicze sądu.

Sędzia z wolna rolował w swojej dłoni pióro, a jego oczy obrzucały Feldmana zimnym spojrzeniem.

– Pariasie Danielu Feldman, zostaje pan uznany za winnego wszystkich zarzucanych czynów. Ponadto pańska wina musi być współdzielona przez ten cały rejon Marsa, określany jako wioski. Dlatego cały ten region zostaje wyjęty spod prawa i na jego terenie zabronione jest wykonywanie wszystkich usług Lobby Medycznego przez okres jednego roku.

– Wysoki Sądzie! – jeden z lekarzy ze szpitala w Southport zerwał się na nogi. – Wysoki Sądzie, nie możemy ich zupełnie odciąć.

– Musimy, doktorze Harkness. Doceniam wspianą humanitarną tradycję naszego Lobby, która stoi za pańskim protestem. Ale tym razem, dla dobra publicznego, wymagane są bardziej drastyczne środki. Czy możemy spotkać się później, po rozprawie i przedyskutować ten temat?

Odwrócił się znów do Feldmana, przybierając groźny wyraz twarzy.

– Ten sam system edukacyjny, który ukształtował takich wspianych młodych ludzi, jak doktor Harkness, w pana przypadku został zmarnotrawiony i spaczony, sprowadzając niebezpieczeństwo na całą rasę ludzką. Nie ma takiej kary, która mogłaby zrównoważyć pańskie zbrodnie, ale jest pewna, przewidziana dla szczególnie straszliwych przypadków. Sprawiedliwym wydaje się, by pan był czwartą osobą w historii, w stosunku do której zostanie ona orzeczona.

– Danielu Feldman, skazuję cię na wywiezienie w kosmos poza granice planety, razem ze wszystkimi materiałami, których użyłeś do przeprowadzenia swoich przestępczych czynów. Tam zostaniesz umieszczony w skafandrze kosmicznym, zawierającym ilość tlenu wystarczającą na przeżycie jednej i tylko jednej godziny. Ty i twoja skażona własność zostaniecie następnie wyrzuceni w przestrzeń kosmiczną, aby dryfować przez całą wieczność jako ostrzeżenie dla innych złoczyńców.

– Ten wyrok zostanie wykonany w pierwszym możliwym momencie, a doktor Chris Ryan zostaje niniejszym wyznaczona do obserwacji tej egzekucji. I niech Bóg ulituje się nad twoją grzeszną duszą!

X Egzekucja

Godziny oczekiwania wydawały się Docowi dziwnie rozmyte. Były okresy, kiedy strach zatykał mu gardło, a wzbierający krzyk nie pozwalał nabrać oddechu tak że miał ochotę walić pięściami w ściany swojej celi. Jednak były również chwile, gdy zdawało się, że przestaje mu na sobie zależeć, a jego myśli obracały się jedynie wokół mieszkańców wsi i zarazy.

Dostarczono mu gazety, w których został odmalowany jako potwór, przy którym Kuba Rozpruwacz i Albrecht Delier byli łagodnymi amatorami. Próbowali skupić na nim wszystkie obawy, całą niechęć i odrazę. Być może to działało. Na zewnątrz więzienia koczowały wrzeszczące tłumy, a hałas ich nienawiści był dostatecznie silny, by przebić się nawet przez rzadką atmosferę Marsa. Pojawiały się jednak również oznaki, że Lobby nie było spokojne, obawiając się że ciągle może zostać poczyniona jakaś próba, aby go uratować.

Wręcz oczekiwał dnia podróży do portu kosmicznego, która pozwoli mu na ocenę reakcji ludzi. Ale widocznie Lobby nie miało zamiaru tego sprawdzać. Strażnicy wyprowadzili go na dach więzienia, gdzie czekała już na niego rakietka. Rozmiar lądowiska był zbyt mały dla któregoś ze stacyjnych promów, ale stał tam zaparkowany mały prom latający między Northport i Southport. Nawet on musiał mieć trudności z lądowaniem. Strażnicy sprawdzili kajdany Doca i zmusili go do wejścia do promu.

Wewnątrz czekała już Chris, trzymająca służbowy automat. Obok niej siedział także młody pilot, wyglądający na nerwowego i nieszczęśliwego. Mamrotał coś półgłosem, gdy strażnicy przykuli nogi Doca do siedzenia, a potem wyszli.

– W porządku – poleciła Chris. – Odlatujemy!

– Mówiłem pani, że przez panią jesteśmy przeciążeni. Nie przewidywałem trzech osób w tym locie – głośno zaprotestował pilot. – Wiara to chyba jedyna rzecz, dzięki której możemy się dostać na orbitę stacji. Załadowałem każdą kroplę paliwa, jaka się zmieściła, ale to jest ciągle za mało.

– To już twój problem – twardo powiedziała Chris. – Otrzymałeś swoje rozkazy, tak samo jak i ja. Lecimy!

Jeśli ona również miała jakieś obawy dotyczące promu, w żaden sposób tego nie okazywała. Chris nigdy nie bała się zrobić tego, co uważała za swoją powinność. Pilot popatrzył na nią z wątpliwością, i w końcu odwrócił się do swoich przyrządów sterowniczych, ciągle coś mamrocząc pod nosem.

Prom wzlatywał nieco ospale, ale obyło się bez większych trudności. Kiedy przechodzili przez tunel wejściowy na stacji, Doc zdołał podejrzeć,

że trochę paliwa nawet jeszcze im zostało. Chris wyszła na zewnątrz, a w środku pojawili się inni strażnicy, aby go rozkuć.

– Do zobaczenia, doktorze Feldman – cicho powiedział pilot, gdy wyprowadzali go na zewnątrz. Następnie strażnicy wcisnęli go przez służbę powietrzną do środka stacji. Piętnaście minut później siedział już zamknięty w jednej z kabin *Irokeza*, a cały jego dobytek leżał z tyłu zwalony na stos.

Krzywo się uśmiechnął. Kiedy był uczciwym pracownikiem na *Nawaho*, traktowano go niemal jak zwierzę. Teraz, jako maniackalny zabójca, został umieszczony w luksusowej kabine najlepszego statku floty, wyposażonej w mechanizm wirowy, stwarzający wrażenie siły ciężkości, i mając więcej miejsca niż cała załoga kanałowa mogła sobie wyobrazić.

Włóczył się po kabine, dopóki nie znalazł małego składanego stolika. Ustawił na nim mikroskop elektronowy i włączył go. Wydawało się haniebnym, by dobry sprzęt marnował się razem z jego życiem. Zastanawiał się, czy rzeczywiście wyrzucą go w kosmos razem z nim. Pewnie tak robią.

Wcisnął przycisk na pulpicie komunikacyjnym znajdującym się nad stołem i poprosił stewarda. Czekał dosyć długo, zanim procedura została skonsultowana z jakimś przełożonym, ale w końcu otrzymał zgryźliwe potwierdzenie.

– Steward. Czego chcesz.

– Czy jest jakaś szansa, żeby dostać coś do jedzenia?

– Jesteś w pierwszej klasie.

Mogli sobie na to pozwolić, zdecydował Doc. Nie mógł ich zbyt dużo kosztować, biorąc pod uwagę czas, jaki mu jeszcze pozostał.

– Proszę przynieść mi dwie kolejne kolacje. Jedną ziemską, i jedną marsjańską.

– Okej, Feldman, ale jeśli myślisz, że w ten sposób popełnisz samobójstwo, to się mylisz. Możesz się pochorować, ale z całą pewnością będziesz żyć kiedy cię wyrzucą w próżnię.

Przerwało im ostre kliknięcie.

– Wystarczy, Steward. Tu mówi kapitan Everts. Doktorze Feldman, proszę przyjąć moje przeprosiny. Dopóki nie osiągniemy miejsca pańskiego przeznaczenia, jest pan moim pasażerem upoważnionym do korzystania ze wszelkich względów, jakie mają pozostali pasażerowie, za wyjątkiem swobody poruszania się po statku. W przypadku jakichkolwiek uprawnionych skarg jestem dla pana zawsze dostępny.

Feldman pokręcił głową z niedowierzaniem. Słyszał o takich ludziach. Myślał jednak, że to już wymarły gatunek.

Steward, który przyniósł jego jedzenie, zachowywał całkowicie nienaganne maniery. Znalazł miejsce, aby je postawić i zaczął z uwagą.

– Czy to wszystko, proszę pana?

Przez chwilę, gdy do jego nosa dotarł zapach prawdziwego steku, Doc żałował tego, że jego organizm został przestrojony. Potem wzruszył ramionami. Odrobinka nie mogła mu zaszkodzić, chociaż nie zawierało to właściwych substancji odżywczych. Wcisnął trochę sosu i kawałek mięsa do jednej ze swoich butelek, zachowując je do swoich celów, a potem

zajął się resztą. jednak po kilku kawałkach poczuł się dziwnie niezadowolony. Widocznie po tym wszystkim, zwykłe, mało pociągające marsjańskie ragout lepiej odpowiadało jego obecnemu smakowi.

Kiedy steward zabrał już potrawy, Doc zasiadł do pracy. Było to lepsze niż marnowanie czasu na siedzenie w przerażeniu. Być może pozwoli mu nawet pozostawić po sobie trochę notatek.

Rozbrzmiewający gong i czerwone światło uprzedziło go, że statek rozpoczął przyspieszanie. Skończył wyciągać butelki, włożył je do inkubatora i rzucił się na swoje łóżko, łykając jedną tabletkę morphetalu, w który statek był obficie zaopatrzony.

Kiedy się obudził przyspieszanie zostało już zakończone i czekało na niego proste śniadanie. Zauważył także czerwone mrugające światełko na pulpicie komunikacyjnym. Wcisnął przełącznik, jednocześnie sięgając ręką po kawę.

– Kapitan Everts – oznajmił głośnik. – Czy mogę dołączyć do pana, w pańskiej kabinie?

– Proszę wejść – zaprosił Feldman. Wyłączył komunikator i spojrzał na zegar na ścianie. Pozostało mu niecałe jedenaście godzin życia.

Everts był schludnym mężczyzną, w wieku około czterdziestu lat, wyprostowanym, ale nie sztywnym. W jego spojrzeniu nie było ani przyjaźni ani wrogości. Kiedy Doc wskazał ręką w kierunku tacy ze śniadaniem, odpowiedział z kurtuazją:

– Dziękuję panu, już jadłem.

Zgodził się przyjąć krzesło. Kiedy zaczął mówić, jego głos wydawał się być bardzo skruszony:

– To sprawa osobista, z którą być może nie mam prawa się do pana zwracać. Ale moja żona jest wysoce zatroskana tą zarazą. Nie naruszę żadnej tajemnicy, jeśli powiem panu, że w związku z tą sprawą panuje poważne zaniepokojenie, nawet na Ziemi, jeśli wierzyć wiadomościom, które otrzymałem. Lekarz okrętowy uważa, że pani Everts może cierpieć na tę zarazę, ale nie jest pewny jej symptomów. Jak rozumiem pan jest w pełni ekspertem.

Doc zastanawiał się nad tym lekarzem. Najwyraźniej był to kolejny człowiek, który przedkładał dobro swoich pacjentów ponad wszystko inne, chociaż był być może skrupulatny w przestrzeganiu obowiązujących reguł. Przynajmniej nie było żadnego prawa zabraniającego słuchania pariasa.

– Kiedy miała migrenę Selznika? – zapytał.

– Mniej więcej trzynaście lat temu. Przechodziliśmy przez to razem, krótko po przestrojeniu naszego metabolizmu, w czasie niedoboru żywności w '88.

Doc obmacał dokładnie podstawę czaszki kapitana; był tam wyczuwalny obrzęk. Zadał kilka pytań, ale w tym przypadku nie było wątpliwości.

– Oboje musicie ją mieć, panie kapitanie, ale dojrzeje nie wcześniej niż w przyszłym roku. Bardzo mi przykro.

– A więc nie ma żadnej nadziei?

Doc przez chwilę uważnie studiował mężczyznę wzrokiem. Ale Everts nie był typem panikarza, nawet jeśli chodziło o jego życie.

– Niczego takiego nie znalazłem, kapitanie. Mam pewne tropy, ale ciągle jeszcze nad tym pracuję. Być może jeśli mógłbym zostawić kilka notatek pańskiemu lekarzowi...

Nadeszła kolej Evertsa na pokręcenie głową.

– Bardzo mi przykro, doktorze Feldman. Otrzymałem rozkaz, aby wypalić pańską kabinę, kiedy ją pan opuści. Ale dziękuję bardzo.

Wstał z krzesła i wyszedł z kabiny tak samo spokojny i wyprostowany, jak do niej wszedł.

Doc podarł z goryczą swoje notatki. Kroczył wolno po kabinie odczytując godziny, podczas gdy jego oczy przyciągane były nieustannie, przez małe buteleczki z kulturami. W tym czasie ponownie zaczął narastać w nim strach, ale opanował go. Pozostało mu pół godziny, kiedy zaczął otwierać buteleczki i sporządzać swoje filmy.

Kiedy wzdłuż korytarza rozległo się echo nadchodzących kroków, ciągle jeszcze nie skończył, ale był niemal zupełnie pewien swoich wyników. Mikrob nie mógł rozwijać się w tkance dostosowanej do warunków ziemskich.

Trzej mężczyźni weszli do kabiny. Jeden z nich ubrany był w skafander kosmiczny, trzymając również drugi skafander dla niego. Pozostali dwaj zbierali wszystko co było w kabinie, pakując schludnie we worek, wykorzystywany do ochrony ładunku podczas przechowywania go w próżni, przez ograniczony czas.

Doc z głupią dumą zmusił swoje ręce do tego by przestały drżeć i zaczął wchodzić w skafander. Sięgnął po hełm, ale mężczyzna pokręcił głową, wskazując na wskaźnik poziomu tlenu. Kiedy zostanie wyrzucony na zewnątrz, powinien mieć zapas tlenu dokładnie na godzinę, a do chwili wykonania wyroku brakowało ciągle jeszcze pięciu minut.

Maszerowali z nim wzdłuż korytarza, aby napotkać idącego w ich kierunku Evertsa. Pozostały mu ciągle jeszcze trzy minuty, kiedy doszli do śluzy powietrznej, której wewnętrzne drzwi czekały już otworzone na całą szerokość. Człowiek ubrany w skafander wszedł do niej i zaczął się przywiązywać, tak aby pęd powietrza nie wyrzucił go na zewnątrz, gdy zostaną otwarte drugie drzwi.

Doc zachował sobie jedną łodygę ziela braki. Teraz wsunął ją między wargi, szperając w poszukiwaniu ognia.

Everts dał kilka kroków do przodu i błysnął zapalniczką. Doc głęboko wciągnął powietrze. Strach wzbierał mu w każdym mięśniu, i wręcz desperacko potrzebował zapalić. Potem wziął się w garść.

– Lepiej byłoby gdyby przestawił pan swój metabolizm z powrotem na ziemski, kapitanie Everts – powiedział, a jego głos brzmiał tak normalnie, że z trudem go rozpoznawał.

Oczy Evertsa na krótko się rozszerzyły. Mężczyzna skłonił się lekko.

– Dziękuję panu, doktorze Feldman.

Cała sytuacja była wręcz absurdalna, nie do uwierzenia, i nawet teraz widoczny był osobliwy rys jej skostniałego formalizmu. Było to jakby coś w rodzaju sztuki teatralnej, zbyt nierealne, aby mogło mieć wpływ na jego prawdziwe życie.

Everts skinął głową w kierunku mężczyzny trzymającego hełm jego skafandra. Doc odrzucił swoją łodygę braki i poczuł jak hełm zatrzaskuje mu się głowie. Usłyszał syk tlenu i skafander nadał się jak balon. Ponieważ w miejscu gdzie się znajdowali nie było grawitacji, dwóch ludzi łatwo go podniosło i podało temu który czekał w śluzie, a jednocześnie jej wewnętrzny właz zaczął się zamykać.

Zgodnie ze wskazaniem wielkiego zegara, zamontowanego w śluzie, ciągle pozostawało mu jeszcze dziesięć sekund. Marynarz wykorzystał je na mocne przymocowanie do skafandra Doca, worka z jego rzeczami.

Zaświeciło się czerwone światło. Mężczyzna chwycił Doca i popchnął go w kierunku zewnętrznego wjazdu. Czerwone światło zaczęło migotać. Cztery sekundy... trzy... dwie...

Rozległ się nagły głuchy odgłos i *Irokez* zaczął się lekko trząść na boki. Kosmonauta z zaskoczenia pokręcił głową.

Czerwone światło przestało migotać i świeciło ze stałą jasnością. Zero!

Zewnętrzny właz otworzył się z trzaskiem i kosmonauta nagle został z tyłu. Powietrze eksplodowało na zewnątrz i Doc poleciał razem z nim. Był sam w przestrzeni kosmicznej, szybując coraz dalej od statku, podczas gdy powietrze delikatnie posykiwało, przechodząc przez zawór i odmierzając czas jego życia.



XI

Zmartwychwstanie

Feldman walczył o zachowanie samokontroli, zmusił się do myślenia, aby zachować trzeźwość umysłu. Była to zresztą czysta głupota z jego strony, ponieważ nie mogło być bardziej miłosiernego wyjścia, niż ucieczka od rzeczywistości. Jednak wola bycia sobą, była silniejsza od logiki. I tak krok po kroku, zmusił strach i grozę do tego by opuściły jego myśli, aż w końcu był zdolny na trzeźwo przeanalizować swoją sytuację.

Powoli się obracał, tak że gwiazdy znajdujące się przed nim gwiazdy zdawały się pełzać po szybie wizjera jego hełmu. W międzyczasie statek odsunął się już od niego na odległość setek jardów. Mars stał się coraz bardziej kurczącą się kuleczką, leżącą gdzieś daleko od niego.

Wtedy coś mrugnęło z jednej strony. Odwrócił głowę, by się temu przyjrzeć.

Nie dalej niż trzysta jardów od niego znajdował się mały statek. Rozpoznał, że to szalupa ratunkowa. Po chwili ruch obrotowy ustawił statek na wprost jego twarzy i dopiero wtedy zauważył że porusza się on kursem równoległym do jego. To wystrzelenie tej szalupy musiało pewnie spowodować ten głuchy odgłos, który usłyszał zanim został wyrzucony w kosmos.

To oznaczało, że ktoś próbuje go uratować. To mogło oznaczać życie!

Zaczął wymachiwać rękoma i walić nogą o nogę, próbując bez sensu trochę się zbliżyć do szalupy, a jednocześnie gorączkowo starając się domyślić kto mógł podjąć próbę ratunku. Nikt z przychodzących mu na myśl ludzi nie był w stanie zabukować się jako pasażer na *Irokezie*. We wioskach nie było po prostu tak dużej sumy pieniędzy do dyspozycji.

Coś błysnęło na niebiesko, i mały statek skoczył lekko do przodu. Ktokolwiek próbował go ratować, nie wiedział nic o pilotażu. Nabrał zbyt dużej prędkości i podchodził pod zbyt dużym kątem.

Znów pojawiły się strugi niebieskiego ognia, ale tym razem efekty były nawet gorsze. Potem minęło sporo czasu, zanim pilot przystąpił do trzeciej próby. Oceniał kurs. Powinien minąć go o dobre sto stóp, ale było to prawdopodobnie maksimum tego, co mógł zrobić pilot amator. Statek zdryfował bliżej, ale za bardzo z jednego boku. Wkrótce powinien minąć go zupełnie.

W niewielkiej służbie wejściowej pojawiła się nagle postać w skafandrze kosmicznym, trzymając zwój liny. Celnie rzucona, wystrzeliła w jego kierunku. Była jednak za krótka. Brakowało około dziesięciu stóp... i z punktu widzenia możliwości jego ratunku, równie dobrze mogło to być dziesięć mil.

W jego głowie zakotłowała się dzika plątanina wszystkich filmów na temat kosmosu, jakie kiedykolwiek obejrzał, ale uczeplił się pierwszego pomysłu, jaki udało mu się przypomnieć. Kilka razy głęboko odetchnął i odłączył zbiornik z tlenem. Na złączu ze skafandrem wlot został odcięty przez automatyczną uszczelkę. Wycelował syczącą butlę, nerwowo manipulując ręcznym zaworem.

To niemal się udało. Odrzut powietrza powoli pchnął go w kierunku liny, ale większość jego energii została zmarnowana na wprowadzenie go w gwałtowny ruch obrotowy. Zmrużył oczy, próbując zlokalizować linę. Teraz była pięć stóp od niego.

Znów poczekał, aż wydało mu się, że jest w odpowiedniej pozycji. Tym razem odrzucił butlę od siebie. Zwiększyło to jego prędkość obrotową w pionie, ale lina pojawiła się w wizjerze w zasięgu jego ramion.

Chwycił ją w chwili, gdy wydawało mu się że płuca zaraz mu wybuchną. Nie był już w stanie wytrzymać na tyle długo, aby umocować linę do skafandra...

Jego płuca nagle poddały się, zapadając się i próbując żarłocznie zassać powietrze... które do nich napłynęło, rozjaśniając jego głowę. Zapomniał, że napompowany skafander przechowuje zapas tlenu wystarczający na kilka minut.

Jego ciało uderzyło w krawędź śluzy powietrznej i czyjaś ręka wciągnęła go do środka. Zewnętrzny właz zatrzasnął się i uszczelnił, a w śluzie rozległ się syk napływającego powietrza.

Zrzucił z głowy hełm dokładnie w tej samej chwili, kiedy Chris Ryan ściągnęła swój.

Jej głos drżał niemal histerycznie.

– Dzięki Bogu, Dan. Już niemal myślałam, że nie dam rady.

– Powietrze na zewnątrz smakowało mi już chyba lepiej – powiedział do niej z goryczą. – Jeżeli otworzysz z powrotem właz, chętnie wyjdę. Czy mam może uwierzyć, że to jest akcja ratunkowa i że przyleciałaś tu tylko po to by mnie ocalić?

– Przyleciałam tu, aby zobaczyć jak umierasz, jak zresztą dobrze wiesz. O ratowaniu ciebie nie było mowy w moich rozkazach.

Chrząknął i sięgnął do dźwigni, otwierającej zamek zewnętrznego włazu.

– Lepiej wejdź z powrotem do środka, jeśli nie chcesz wylecieć razem ze mną na zewnątrz.

– To zależy tylko od ciebie, Dan – powiedziała mu, i w jej błękitnych oczach widać było całą szczerość świata. – Jestem teraz po twojej stronie.

Zaczął wyliczać na palcach.

– Zobaczmy więc. Zapasowe baterie, opóźnienie w moim arestowaniu, wybór Matthews'a...

– To akurat wszystko była prawda – w jej oczach zaczął narastać gniew. – Danie Feldman właz do tej szalupy! Jeśli nie zależy ci na mnie, to może byś pomyślał o ludziach umierających na zarazę, którzy cię potrzebują!

Zagrała swoim atutem, i ta runda była dla niej. Wszedł za nią do środka.

– Dobrze – niechętnie powiedział. – Opowiedz mi swoją wersję.

Wyjęła kopię radiogramu kosmicznego, zaadresowaną do pani D.E. Everts, i podpisaną przez jednego z najlepszych lekarzy w Zarządzie Lobby Medycznego.

Z żalem potwierdzam diagnozę. Tajne. Powtarzam tajne. Okres inkubacji marsjańskiej gorączki wynosi czternaście lat, przypuszczalnie wysoka śmiertelność. Nie ma lekarstwa, badania zaczynają się natychmiast. Kara za złamanie tajemnicy, śmierć wszystkich zamieszanych.

– I pani Everts została dopuszczona do tajnej wiadomości? – Doc sucho skomentował. – Daj spokój, Chris!

– Ona jest córką Elmersa z Lobby Kosmicznego! – odpowiedziała Chris. Wskazywała na wiadomość, podkreślając palcami poszczególne słowa. – *Czternaście lat*. A więc ty nie mogłeś jej wyhodować. *Wysoka śmiertelność*. A ci ludzie opowiadają, że to tylko niegroźna choroba skórna. *Badania zaczynają się*. Ale ty wykonałeś już wcześniej większość badań. Dopiero teraz to zrozumiałam. Zrozumiałam wiele różnych spraw!

– Teraz, to prawie mnie powaliłaś – powiedział. – Nie rozumiem tylko w jaki sposób nowoczesna młoda panienka z dobrego domu, tak sobie spokojnie poszła i ukradła szalupę ratunkową. Nie rozumiem także w jaki sposób twój wspaniały umysł wymyślił cały ten plan i to niemal nie potrzebując na to ani trochę czasu. I żeby być uczciwym, nie rozumiem nawet dlaczego Lobby Medyczne zdecydowało aby uratować mnie w ostatniej chwili, i wysłało cię to tej roboty. Nie musiałas mnie szpiegować, żeby poznać całą moją wiedzę. Próbowałem chyba wszystkiego, żeby przekazać ją waszemu działowi badawczemu.

Westchnęła i opadła na mały fotel.

– Nie mogę udowodnić tego, jakie motywy mną kierowały. Po prostu będziesz musiał mi uwierzyć. A to co zrobiłam, nie było wcale takie trudne. W czasie rutynowej kontroli znaleziono pilota promu, schowanego na gapę w szalupie ratunkowej. Kiedy został znaleziony byłam akurat z kapitanem Evertsem, tak że dowiedziałam się jak wejść do szalupy. I słyszałam również całą jego spowiedź. Nie był prawdziwym pilotem. Przybył z wioski, aby cię uratować. Cały plan był jego. Ja po prostu go zrealizowałam, mając nadzieję, że uda mi się do ciebie dolecieć.

Jak zwykle, jej historia zawierała pewien przekonujący element, o którym nie powinna wiedzieć. Słowa pożegnalne pilota, kiedy zwrócił się do niego jako do doktora Feldmana, były za ciche aby mogła je usłyszeć. Ale były one czymś, co pasowało do jej historii. Była to prawdopodobnie rozmyślna uwaga, która miała dać mu nadzieję, upewnić go, że wioski ciągle próbowały. To skruszyło jego brak zaufania.

– A twój motyw... twój prawdziwy motyw? – nalegał.

Rzuciła mu przekleństwo i zaczęła zdzierać z siebie skafander. Odwróciła się do niego plecami, ściągając z karku na dół cienką bluzkę. Przyjrzał się chwilę, a potem wyciągnął rękę aby dotknąć znajdującego się tam guza.

– A więc miałaś migrenę Selznika, i teraz wiesz, że jesteś nosicielem zarazy. I zdecydowałaś, że twoje drogocenne Lobby nie będzie w stanie cię uratować?

Na chwilę spuściła oczy, ale potem podniosła je i spojrzała na niego wyzywająco.

– Ja nie jestem tylko tak po prostu wystraszona i samolubna. Tata także to złapał, i niedługo musi być czas na niego. Przystroił się na metabolizm marsjański, kiedy był łącznościowcem w wojsku, i potem tego nie zmienił. Dan, czy my wszyscy musimy umrzeć? Czy możesz go uratować?

Feldman zdjął już swój skafander i siedział przy pulpicie ze sterami. Jego głównym elementem była ręczna dźwignia, której musiała wcześniej używać Chris. Z szalupy łatwo było korzystać tutaj w kosmosie, gdzie jest dużo miejsca do manewrowania i nie było niczego w co można uderzyć. Ale próbować nią wylądować, to była zupełnie inna sprawa.

– Dan? – powtórzyła.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Za późno rozpoczęli prowadzenie badań i będą pod tak dużą presją, że prawdziwe mózgi nie będą miały szansy aby wziąć w nich udział. Klauzula tajności nie wróży najlepiej dla żadnych badań. Być może istnieje pewna możliwość. To działa w przypadku kultur bakterii, ale może zawieść w przypadku ludzi. Kiedy przekonam się, że nic mi z twojej strony nie grozi, mogę ci o tym powiedzieć.

– Oh. – Jej głos był bardzo cichy. Potem westchnęła. – Myślę, że potrafię zrozumieć dlaczego mnie nienawidzisz, Dan.

– Wcale cię nie nienawidzę. Mam na to za duży mętlik w głowie. Jutro być może, ale teraz naprawdę nie. Zamknij się i pozwól mi popatrzeć czy mam choćby blade pojęcie jak tym wylądować.

Stwierdził, że zbiorniki paliwa są niemal pełne, ale to ciągle nie zostawiało zbyt dużego marginesu. Everts musiał zawiadomić Marsa, i z pewnością będą tam czekać, aby odpowiednio przywitać wracającą szalupę. Musiał lądować na pustkowiu, z dala jakiegokolwiek portu kosmicznego. Nie mają jednak aparatów oddechowych, a w skafandrach kosmicznych, których będą musieli używać, wielu obszarów nie dało się pokonać. Oznaczało to, że musiał wylądować w pobliżu jednej z wiosek, w których go znano.

Musiał opanować statek metodą prób i błędów, ręcznie sprawdzając działanie przyrządów wystających z pulpitu sterów. Zgodnie z informacjami w załączonej broszurze, sterowanie statkiem było dosyć proste. Utrzymywał się samodzielnie w atmosferze, a komputery automatycznej regulacji pracy silników pozwalały nawet amatorowi na właściwy dobór szybkości schodzenia w pobliżu powierzchni. Wyglądało to uspokajająco... i prawdopodobnie, z takim właśnie zamysłem zostało napisane.

W końcu przejął stery, mając nadzieję, że przy użyciu prostej logiki, obliczył orbitę lądowania chociaż w przybliżeniu poprawnie. Podczas kolejnych godzin wyrównał ją, obserwując kolejne znaczniki na Marsie. Kiedy byli w pobliżu punktu zmiany kursu, zaczął kręcić małym

żyroskopem aby obrócić statek. Wykonanie zwrotu bez użycia silników, pozwalało na zaoszczędzenie paliwa, a ponadto nie był pewien czy będzie umiał precyzyjnie zmienić kurs poprzez odpalenie rakiet.

Czuł jednak, że zdobył pewną wprawę. Ale teraz będzie musiał zmarnować trochę paliwa i ponownie zrujnować swoją orbitę. Nie było innego sposobu na ćwiczenie manewrów, niż faktyczne ich wykonywanie.

W końcu zdecydował się na pewien kompromis, pozostawiając mały zapas paliwa na kiepskie lądowanie, które może wymagać drugiego podejścia, ale wykonując mniej ćwiczeń niż początkowo chciał.

Kiedy wreszcie sięgnął po sterowanie głównym silnikiem, poprzez mały teleskop wcześniej zlokalizował wioskę Jake'a. Rzadka mgiełka atmosfery Marsa zbliżała się w szybkim tempie, kiedy przyhamował uderzeniem ciągiem odrzutu silnika. Potem weszli w zewnętrzne warstwy atmosfery i wokół nich rozjarzyła się warstwa rozgrzanego powietrza, całkowicie zakłócająca widoczność.

Odwrócił się na chwilę do komputera sterującego i wrócił do tego co mógł zobaczyć poprzez kwarcowy wizjer. Zamierzał wylądować mniej więcej pół mili od wioski, tak blisko, jak to tylko będzie wykonalne.

Komputer wydawał się działać tak jak powinien. Prędkość pozostawała w obrębie dopuszczalnych granic. Zrezygnował z prób wypatrzenia gruntu, i zmuszony był do zaufania maszynerii zaprojektowanej dla pilotów amatorów. Wystrzeliła flara i zaczęła opadać w dół, przez chwilę rozświetlając otoczenie.

Mogło być gorzej. Walnęli w podłoże, dwukrotnie podskoczyli i na koniec przewrócili się. Kiedy Feldman uwolnił się z elastycznych pasów fotela, kabina statku stanowiła jedną wielką kotłowaną urzędów i różnych rupieci. Wcześniej, gdy uderzyli w ziemię Chris krzyknęła przesywając, ale teraz odpinała się sama.

Rzucił jej skafander kosmiczny i jedną z zapasowych butli z tlenem ze stojaka.

– Pośpiesz się z tym. Mamy wyciek powietrza i ciśnienie szybko spada.

Byli już w połowie drogi do wioski, kiedy zauważyli tuzin pędzących gdzieś traktorów i Jake'a skręcającego jednym z nich w ich stronę, aby ich zabrać.

– Słyszałem o tobie w wiadomościach i tak sobie myślałem, że możesz wylądować gdzieś tu w okolicy. Dobrze cię znowu zobaczyć, Doc. – Zapalił silnik i z pełną szybkością ruszył z powrotem na pustkowia, podczas gdy Doc przyglądał się uzbrojonym ludziom, którzy jechali w traktorach.

Jake pochwycił jego spojrzenie i skinął głową.

– Jesteś na terytorium nieprzyjaciela, Doc. Mamy tutaj wojnę.

XII

Wojna

Czasami Docowi się wydawało, że ta wojna była wyścigiem na wytrzymałość, żeby sprawdzić ile razy uda im się uciec, zanim zostaną zbombardowani. Właśnie zaczął zapadać w sen po długiej podróży, gdy po raz kolejny, szósty dzień z rzędu, przenikliwie rozpiszczało się niewielkie urządzenie alarmowe. Westchnął i obudził Chris, potrząsając ją za ramię.

– Znowu? – zaprotestowała. Ale wstała i zaczęła mu pomagać w pakowaniu rzeczy.

Wszedł Jake, ze znużonymi oczyma, nakładając na siebie starą kurtkę, z wielką gwiazdą na rękawie. Doc nie był specjalnie zaskoczony, dowiedziawszy się, że Jake jest faktycznym przywódcą buntowników.

– Zauważono promy startujące w naszym kierunku. A ja nadal nie mogę znaleźć miejsca w którym mamy przeciek. Nie pominęli żadnej naszej lokalizacji w tym tygodniu. Dobrze, daj mi to.

Wziął mikroskop elektronowy, który stał wśród rzeczy Doca, ale Chris zabrała mu go z powrotem.

– Ja to wezmę – powiedziała do niego, i wyszła na zewnątrz do traktora, w którym czekał Lou.

Doc spojrzał za nią z groźną miną. On i Jake ciągle ją obserwowali. Była za bardzo użyteczna dla badań Doca, aby ją odprawić, ale nadal jeszcze jej nie ufali. Jak dotąd jednak nie znaleźli w jej działaniach niczego złego. Ciągle...

Wskoczył nagle do traktora Jake'a.

– Właśnie coś sobie przypomniałem. Jak oni mnie znaleźli, wtedy kiedy zatrzymałem traktor, żeby skorzystać z mikroskopu? Byłem całkiem nieźle schowany, a w piasku ślady nie mogły utrzymać się na tyle długo, aby mogli mnie wytropić. Ale kiedy oprzytomniałem, już tam byli. Jakoś musieli gdzieś mi podrzucić nadajnik radiowy, który mogą namierzać.

Jake poczekał, aż przypała break, z nagle roziskrzonymi oczyma.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że któraś z rzeczy wziętych z jej domu ma w środku pluskwę? Tak... to całkiem możliwe.

– A w dodatku przez cały czas muszę mieć te wszystkie rzeczy przy sobie. Tak więc, gdziekolwiek byśmy nie założyli naszej bazy, potrafią nas bez trudu odnaleźć. A przecież jeszcze niedawno nie byli w stanie odkryć mojego laboratorium, nawet kiedy wszędzie dookoła mieli pełno wojska. Jake, wydaje mi się, że to ten mikroskop. – Docowi udało się zepchnąć z jednego z foteli dostatecznie dużą kupę rupieci, aby powstało ciasne legowisko, na którym mógł się wyciągnąć. – Wiem, wiem, myśleliśmy, że wysłali ją, ponieważ chcą trzymać rękę na pulsie tego co uda mi się odkryć. W końcu wystraszyli się mocno tej zarazy, a ona jest doskonałym

materiałem na agenta. Muszą jednak mieć jakiś sposób na to, aby się z nią kontaktować. Mogę się założyć, że w mikroskopie jest radionamiernik i przełącznik pozwalający na modulację sygnału lub użycie go jako klucza do wysyłania komunikatów alfabetem Morse'a.

– Taaa... - Jake skinął głową. – Tak więc ona ciągle robi swoją krecią robotę. A już wydawało mi się, że mógłbym ją nawet polubić, gdyby była po naszej stronie. Dobrze, Doc. Jeżeli coś wsadzili do mikroskopu, mam chłopaka który to znajdzie i tak go naprawi, że nawet nie będzie się domyslała, że ktoś dotykał sprzętu.

Doc odprężył się. Na razie nie było energii dla przyrządów, tak więc nie miała wymówki, aby korzystać z mikroskopu. Jednak kiedy pracowali, musiała mieć przygotowany jakiś sekretny sposób. Więcej korzystała z mikroskopu niż on sam. Przełącznik można było gdzieś zakamuflować bez większego trudu. Jeżeli ktokolwiek nawet wykrył sygnał radiowy, prawdopodobnie myślał, że to jakieś zakłócenia emitowane przez obwody elektryczne.

W pewnej odległości za nimi, na niebie pojawiły się małe punkciki promów rakietowych. Sekundę później, już stawały na ogonach tuż nad powierzchnią gruntu, próbując pełną mocą rakiet swoich silników spopielić teren, na którym położona była baza.

Jake obserwował to wszystko ponurym wzrokiem, prowadząc traktor niemal instynktownie. Potem ponownie zwrócił się do Doca.

– Czy wiesz coś o doktorze Harknessie?

– Niezbyt wiele, poza tym że protestował przeciwko odcięciu mieszkańców wioski od pomocy medycznej. Dlaczego pytasz?

– On i pięciu innych lekarzy wpadło w nasze ręce, gdy próbowali się przedostać do nas. Twierdzili, że chcą nam udzielić pomocy medycznej. Bóg jeden wie, czy powinniśmy z nich skorzystać. Wydaje mi się jednak, że muszą dać im szansę.

Zatrzymali się w przydrożnej wiosce i ukryli traktory, zanim zaczęli szukać miejsca na odpoczynek. Doc znalazł Chris śpiącą, owiniętą niemal wokół mikroskopu. Spodziewał się, że będzie musiał ją usilnie namawiać, aby zostawiła go w traktorze, ale była naprawdę za bardzo zmęczona, aby przedstawić jakiekolwiek racjonalne argumenty.

Rano, zanim ponownie wyruszyli w drogę, Jake zdał mu relację:

– Miałeś rację, Doc. To był naprawdę niezły kawałek roboty szpiegowskiej. Aby tak dobrze ukryć ten obwód, musieli zatrudnić swoich najlepszych ludzi w Southport. Ale teraz już jest wszystko w porządku. Nadajnik generuje tylko pewnego rodzaju pozbawione treści szumy i zakłócenia, których nikt nie da rady namierzyć. Po tym, chyba nawet będziemy mogli zorganizować ci jakieś stałe laboratorium.

Doc znowu rozważył kwestię pozostawienia gdzieś Chris, ale zdecydował aby tego nie robić. Lobby postanowiło pozwolić mu na znalezienie dla nich lekarstwa, jeśli tylko będzie w stanie tego dokonać. To oznaczało, że Chris sama również będzie musiała harować ze wszystkich sił, próbując mu pomóc. Niech więc myśli, że robi to dla Lobby! Takie czasy, że musi paść ofiarą podwójnego przekrętu.

– To parszywy sposób prowadzenia wojny – podsumował.

Jake zachichotał bez specjalnej wesołości w głosie.

– To przecież jest wojna, której wybuchu ty sam pragnąłeś, pamiętasz? Zmusili nas do niej, ale i tak musiało kiedyś do tego dojść. Teraz właśnie Lobby walczy, żeby położyć swoje łapska na wynikach twojej pracy, zanim będziemy mogli je wykorzystać. Przyjęli więc taktykę wyczekiwania, co pomaga naszej stronie. My z kolei mamy nadzieję, że znajdziesz lekarstwo, tak żebyśmy mogli wykorzystać je jako kartę przetargową w negocjacjach. Tym być może najmocniej ich ugodzimy.

Była to zwariowana wojna, w której każda strona zabijała więcej swoich własnych ludzi, niż nieprzyjaciół. Biegacze mnożyli się coraz liczniej i armia Jake’a nauczyła się z litości zabijać tych biednych szaleńców, i dalej robić swoje. Wiedzieli przynajmniej, że teraz nie było już niebezpieczeństwa zarażenia. W miastach rządzonych przez Lobby, znacznie więcej ofiar było wynikiem paniki podczas prób ucieczki przed biegaczami, niż skutkiem samej zarazy.

Pustynne miasteczka przyłączyły się do wiosek, niechętnie ale nie miały innego wyjścia, dając rebeliantom blisko trzy czwarte całkowitej populacji. Jednak siły Lobby i kilka dużych miast posiadały większość sprzętu wojskowego, i były gotowe czekać aż Ziemia przyśle rakiety bezzałogowe, załadowane głowicami atomowymi, które mogły pokonać przestrzeń kosmiczną z szybkością dziesięciokrotnie większą od normalnej.

Linie frontu były raczej płynne i rozmyte, ale czas stanowił czynnik krytyczny. Lobby czekały kiedy będą mogły ukraść lekarstwo na zarazę, a wioski czekały do chwili kiedy będą mogły ogłosić jego znalezienie, i zażądać ustępstw, jako ceny za nie.

Wyglądało jednak, że obie strony skazane są na rozczarowanie. On i Chris spędzali każdą wolną chwilę pomiędzy przeprowadzkami, poświęcając wyłącznie minimum czasu na sen, na poszukiwaniu czegoś, co mogłoby powstrzymać chorobę. Zaraza nie mogła rozwijać się w organizmach zaadaptowanych do warunków ziemskich, ale także w nich nie ginęła. A nie mieli na tyle dużych zasobów normalnej żywności, aby pozwolić na przestrojenie się, więcej niż garstce ludzi. Nawet sama Ziemia nie miała takiego szczęścia, ponieważ osiemdziesiąt procent jej ludności obecnie jadła już syntetyki. Istniały co prawda pewne sposoby syntetyzowania żywności typu ziemskiego, ale ciągle były one beznadziejnie nieefektywne.

Jake polecił jednej z wiosek, aby w tym celu przebudowały swoją fabrykę, podczas gdy inna zaczęła produkować enzym, który pozwalał na przestawienie metabolizmu. Wyglądało to jednak beznadziejnie, przynajmniej dla więcej niż kilku najcenniejszych ludzi.

– Nie ma postępów? – Jake zapytał po raz setny.

Doc krzywo się uśmiechnął.

– Cała masa, ale lekarstwa nadal nie ma. Znaleźliśmy dla zarazka całkiem niezły akcelerator. Możemy znacznie przyśpieszyć jego inkubację, albo nawet spowodować, że ktoś już wcześniej zarażony, ponownie go złapie. Nie potrafimy jednak go spowolnić, ani powstrzymać.

Kiedy przybyli do nowego laboratorium, ciągle jeszcze było ono przystosowywane do ich potrzeb. Pomieszczenia na nie zostały wydrążone, w jednej z niewielu prawdziwych ścian skalnych, w tym regionie Marsa. W laboratorium zainstalowana została elektrownia, do kompletu z ogrzewaniem na parę, które miało działać w okresach braku światła słonecznego, wykorzystując ciąg przewodów grzewczych przenoszących ciepłe powietrze, oraz produkujących ciepło dla podgrzewania wody.

– Zobaczmy się, kiedy tylko będę mógł – obiecał Jake. – Ale większość czasu będziesz musiał siedzieć tutaj, trochę izolowany, tak aby nie mogli cię wytropić. Niech sobie pomyślą, że strzelili głupstwo z tymi promami, i trafili ciebie i Chris. Może czegoś potrzebujesz?

– Świnek morskich – sarkastycznie odparł Doc. Miał być to żart, chociaż nieco gorzki. Jake jednak skinął głową i wyszedł.

Kiedy weszła Chris, Doc rozłożył łóżka, nie przejmując się nie rozpakowanym wyposażeniem.

– Łap śpiwór, Chris – powiedział do niej.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym wątpliwości.

– Odezwałeś się do mnie, niemal w taki sposób, jakbyś zwracał się do istoty ludzkiej, Dan. Musisz chyba być bardzo śpiący. Uważaj, bo pewnego dnia być może ponownie mnie polubisz.

– Może. – Był za bardzo zmęczony na dalsze dyskusje. – Chociaż raczej w to wątpię. Zapomnij o tym i złap trochę snu.

Obserwowała go w milczeniu, dopóki nie wstał, żeby zgasić światło. Wtedy głęboko westchnęła.

– Dan?

– Tak...

– Nigdy się z tobą nie rozwiodłam. Byłaby to raczej kiepska reklama. W każdym razie ciągle jesteście małżeństwem.

– To fajnie. – Przez chwilę odwrócił się w jej stronę. – Ale oni znaleźli to radio w mikroskopie. Lepiej już śpij, Chris.

– Och. – Był to cichy okrzyk, ledwie uchwytny dla ucha. Gdyby pochodził od kogoś innego, to można by go uznać za pociągnięcie nosem. Potem przekręciła się na drugi bok. – W porządku, Dan. Ale ja i tak ciągle chcę ci pomagać.

Przeklinał sam siebie, że był na tyle głupi aby jej to powiedzieć. Zmęczenie zniweczyło jego plany. Od tej chwili będzie musiał ją pilnować, przez każdą chwilę. A może naprawdę zrozumiała wreszcie znaczenie tych badań? Nie była przecież głupia. Powinno to w końcu dotrzeć, nawet do tak upartej głowy jak jej. Teraz jednak był za bardzo śpiący, aby nad tym rozmyślać.

Kiedy wstał rano, miała już gotowe śniadanie. Nie poczyniła najmniejszej uwagi na temat tego, co zostało powiedziane w nocy. Zamiast tego zaczęła z nim dyskutować o sposobach zabezpieczania jednego z antybiotyków organicznych, przed rozkładem na prostsze składniki, kiedy próbowali przetransformować go do warunków marsjańskich. Oboje byli beznadziejnie kiepskimi chemikami i biologami, ale nie było nikogo innego, kto mógłby się tym zająć.

Tego dnia Chris harowała jeszcze ciężiej niż zwykle.

Tuż po zachodzie słońca, przyjechał Jake i przywiózł ciężkie pudło. Upuścił je na podłogę.

– Myszy!

Doc rozerwał opakowanie, odsłaniając wspaniały widok. W środku było co najmniej sześć tuzinów myszy!

– Harkness je znalazł – wyjaśnił Jake. – Fabryka ekstrakcji hormonów używała ich do testowania niektórych ze swoich produktów. Przysyłano je w regularnych dostawach z Ziemi. Zdobyliśmy je za cenę kilku ludzi, ale Harkness twierdzi, że są tego warte. Jest całkiem niezły w te klocki. Macie!

Podszedł znów do wyjścia i wrócił z kolejnym pudłem, tym razem wypełnionym butelkami i mniejszymi pudełeczkami.

– Mieli całkiem niezłe laboratorium, a Harkness wyniósł z niego wszystko co tylko uznał, że może być dla was przydatne.

Chris i Doc rzucili się w jego stronę. Etykiety napisane były technicznym żargonem, ale wzory chemiczne umożliwiały identyfikację. Były tam dziesiątki różnych środków chemicznych, których wcześniej nawet nie mieli nadziei zdobyć.

– Coś jeszcze? – W końcu zapytał Doc, gdy już zaczęli porządkować nowe zapasy.

– Coraz więcej biegaczy. Dużo więcej. Ciągłe panujemy nad sytuacją, ale dobiegamy kresów możliwości. Jeśli tak będzie dalej, to w obozach wybuchnie panika. Ale to już jest moja sprawa. Wy wracajcie do swoich.

Kilka z nowych środków chemicznych w probówkach dało obiecujące rezultaty. Ale dwa z nich po zastosowaniu na myszach, miały dla nich śmiertelne skutki, a pozostałe w małych ciałach zwierząt okazały się zupełnie nieszkodliwe, zarówno dla myszy jak i dla zarazków. Zaraza okazała się dużo trudniejsza do zwalczenia w kontakcie z żywymi komórkami, niż w sztucznym środowisku słojów z kulturami.

W ciągu dwóch dni stracili siedem myszy, ale wydawało się to nieistotne, ponieważ niemal wszystkie samice, zgodnie ze swoją reputacją, spodziewały się młodych. Doc nie znał długości ciąży u myszy, ale pamiętał, że był on dosyć krótki.

– Zabawne, że wszystkie poczęły w tym samym czasie – skomentował.
– Musiały być dostarczone w różnych partiach lub trzymane oddzielnie podczas przedstawiania na metabolizm marsjański. W każdym razie coś im wcześniej przeszkodziło.

Kilka nocy później, poznali powody takiego stanu rzeczy. Z głębokiego snu wyrwał ich straszliwy pisk. Chris jako pierwsza dopadła włącznika światła. Kiedy zrobiło się jasno, odwrócili się w stronę klatki z myszami.

Wszystkie zwierzęta biegały jak oszalałe, po całej ograniczonej przestrzeni jaką miały do dyspozycji, wściekle przebiegając małymi nóżkami i rozpaczliwie piszcząc. Chociaż miały niewielkie rozmiary, nadrabiały to liczebnością, tak więc wrzawa była potężna.

Ale to nie był koniec. Jedna po drugiej, myszy zaczęły przewracać się na dno klatki. W ciągu piętnastu minut wszystkie były martwe!

W oczywisty sposób była to zaraza, której myszy nabawiły się bo przedstawieniu metabolizmu. Ludzkie kobiety przez pewien okres po ataku migreny Selznika były niepłodne, widocznie tak samo było również w

przypadku samic myszy. Musiały złapać zarazę mniej więcej w tym samym czasie, i jednocześnie doczekały się powrotu płodności. W jakiś sposób okres inkubacji zarazy został skrócony, dostosowując się do długości ich życia. Choroba nie byłaby tak groźna, gdyby się nie miała podobnych zdolności adaptacyjnych.

W ponurej ciszy Chris przygotowała slajd. Kiedy Doc przyjrzał się mu przez mikroskop, znalazł tam znajome komórki. Podniósł jedno z małych stworzonek i rozciął je, wyciągając jeden z płodów.

– Zrób z tego film – polecił.

Pracowała szybko, wycinając plasterki niemal mikroskopijnego mózgu, rozprowadzając tłustą substancję oraz robiąc z tego film do mikroskopu. Tym razem, nawet przy pełnym powiększeniu, nie było żadnego śladu włókienek, które zawsze znajdowały się w zakażonej tkance. Wyniki były takie same dla wszystkich próbek, jakie zrobili.

– Coś związanego z bardzo młodym wiekiem organizmów, albo jakieś wydzieliny z organów matki nie pozwalają zarazkom działać. – Doc sięgnął po łodygę braku i przyjął ogień od Chris, nie dziękując jej. – Wszystkie dzieci o których słyszałem nabawiły się zarazy między drugim i trzecim rokiem życia. Żadne z nich nie urodziło się z nią, ani nie złapało jej wcześniej. Podejrzewałem to, ale teraz mamy potwierdzenie.

Chris zaczęła przygotowywać próbki, podczas gdy Doc zajął się próbkami z kulturami. Musieli przetestować różne wydzieliny z małych ciałek, ale miał przygotowanych dosyć dużo kultur. Jeśli substancja tylko uniemożliwiała wzrost, oznaczać to będzie długi powolny test, jeśli natomiast zabijała mikroby, będą w stanie sprawdzić to znacznie szybciej.

Jake przyjechał przed ostatecznymi testami, ale poczekał na ich zakończenie. Doc studiował film w mikroskopie. Nagle ruszył podekscytowany do Chris.

– Widzisz te włókienka? Wszystkie zostały zniszczone. A jedna z dużych komórek całkiem się rozpadła. Mamy to! To jest obecne we krwi płodu. I musi być również we krwi nowonarodzonych dzieci.

Jake spojrzał na slajd, ale na jego twarzy ciągle widać było wątpliwość.

– Być może coś masz, Doc. Przynajmniej taką mam nadzieję. I mam także nadzieję, że będziesz mógł to wykorzystać. – Ze znużeniem wstrząsnął głową. – Potrzebujemy jednak dobrych wieści już teraz. Na stację przyleciało właśnie kilka wielkich rakiet. Nikt nie ma pojęcia, jak mogły się tak szybko pojawić, ani po co przyleciały. Ale to nie wygląda dla nas za dobrze.

XIII

Uczucia

Doc wyczuł już z oddali napięcie panujące we wiosce, w której ulokowana została tymczasowa kwatera główna buntu, zanim jeszcze zbliżyli się do niej dostatecznie blisko, aby spostrzec wszystkie szczegóły. Ludzie gromadzili się w grupki, wpatrując się w miejsce na niebie, w którym powinna znajdować się stacja kosmiczna. Kilku z nich chodziło w tą i z powrotem, gestykulując mocno i zamasyście rękoma.

Jedna z kobiet przeszła nagle do bardziej nawet gwałtownych działań. Wyskoczyła w górę i ruszyła z początku szybkim truchtem a potem biegiem. Rękoma szarpała ubranie, a usta wydawały się pracować bez przerwy. Była już w pół drogi do szczytu najbliższej wydmy, kiedy trzasnęła strzelba. Upadła, i przez chwilę leżała szarpana konwulsjami, potem się uspokoiła.

Niemal równocześnie z jej śmiercią, z jednego z domów wyskoczyła jakaś inna postać, bez nieodzownego aparatu oddechowego na twarzy. Podjęła gwałtowny bieg, ale upadła z braku powietrza zanim kula zakończyła jej cierpienia.

Ludzie nagle zaczęli się rozchodzić, próbując znaleźć się daleko od siebie. Przez całe tygodnie stawiali czoła grozie z odwagą, ale w końcu okazało się to dla nich zbyt wiele.

Napięcie rosło, w miarę jak z miast przestały docierać nowe wiadomości. Doc zauważył, że zdawało się to wzmacniać natężenie i przyspieszać rozwój choroby. W ciągu następnej pół godziny widział śmierć kolejnych trojga zastrzelonych ludzi.

Próbował ich uspokoić, ogłaszając możliwość znalezienia lekarstwa na zarazę, ale ich reakcje były tak samo osobliwie chłodne, jak to było w przypadku Jake'a. Kiedy mówił im o tym, przyglądali się mu z wyrazem skupienia na twarzy. Na jego uwagę o potrzebie krwi małych dzieci, w ponurym milczeniu, odwracali się w drugą stronę.

Podszedł Jake ze strapieniem kiwając głową.

– Stało się to, czego się obawiałem, Doc. George Lynn! Wyjaśnij Docowi co jest nie tak.

Lynn nie miał na to ochoty, ale w końcu wyjąkał swoje wyjaśnienia.

– To do ciebie niepodobne, Doc. Musiała to wymyślić ta kobieta z Lobby, którą masz u siebie. To jej paskudny pomysł. Widzieliśmy jak lekarze Lobby kłują nasze dzieci, zatruwają ich krew i wykrwawiają je do sucha. Nigdy więcej już na to nie pozwolimy, Doc! Powiedz jej, że nie ma mowy!

Doc zaklął kiedy zrozumiał zakres ich ignorancji. Bez przedstawienia ludziom właściwych objaśnień, szczepienia mogły wyglądać jak zatruwanie

krwi. Nie mógł jednak zrozumieć słów o wykrwawianiu, dopóki z pomocą nie przyszedł mu Jake.

– Oddział pediatryczny z Northport. Każdy oddział musi mieć swój własny bank krwi, krwiodawstwo jest obowiązkowe. Także Southport rozpoczęło tę akcję kilka miesięcy temu.

Ponownie więc dosięgło go długie ramię Lobby. Teraz, nawet gdyby kiedyś udało mu się skłonić ich do podjęcia terapii, byłoby to możliwe dopiero po długich namowach i wyjaśnieniach, a przecież czasu starczało ledwie na samą pracę!

Po południu dołączył do nich sędzia Ben Wilson. Jego głos aż drżał z wytężenia, gdy próbował przekrzyczeć tłum korzystając z przenośnego megafonu.

– Southport zaczyna szaleć. – Po każdym zdaniu musiał na chwilę przerywać, aby złapać oddech. – Ziemia zabiera z powrotem wszystkich ważnych ludzi. Ładują ich na statki. Zostawiają jedynie kolonistów, którzy nie mają prawa pobytu na Ziemi. Te statki wyleciały, kiedy doszli do wniosku, że zaraza pochodzi stąd. Nie chcą zostawić tu nikogo, dopóki zaraza się rozprzestrzeni. Jutro nie będzie już na Marsie żadnego ziemskiego technika.

– Nie mają bomb? – ktoś zawołał.

– Nie mają bomb. Statki musiały wystartować zanim się zbuntowaliście. Być może przyleciały naprawdę po to, by uratować swoich ludzi. Ale teraz to jest już akcja wojskowa, i nie wydaje mi się aby nie oznaczało to kolejnych kłopotów. Ci biedni głupcy w mieście postawili na niewłaściwego konia. Teraz na dłuższą metę nie będą w stanie utrzymać działania swoich fabryk żywności, ani innych urządzeń. Nie bez odpowiednich techników. Teraz chcą uderzyć na was. Do tej pory walczyli dla Lobby. Teraz będą chcieli wydać wam swoją własną wojnę, aby zdobyć wasze zapasy. A ciągle mają do dyspozycji promy rakietowe i paliwo do nich. Na razie tyle. Muszę naradzić się z Jakem.

Doc już szedł za sędzią, ale doktor Harkness chwycił go za ramię i poprosił na stronę. Za nimi poszła Chris.

– Pojawiła się kolejna epidemia – powiedział im Harkness. – Na razie w Marconim. Musiałem jechać przez całą noc, ale tam choruje pół wioski. Rozpoczyna się jak zwykłe przeziębienie, powoduje jednak wysoką gorączkę, a na wszędzie na skórze pojawiają się jasne czerwone kropki...

Opisał ją nieco dokładniej. Chris zaczęła go wypytywać, o środki medyczne, jakie udało mu się wykraść ze szpitala w Northport i przywieźć ze sobą. Zdawała się domyślać co to jest, ale nie chciała tego powiedzieć, dopóki nie zobaczy chorych. Doc również wolał poczekać. Czasami sprawy nie idą tak źle jak się wydaje, chociaż zazwyczaj idą nawet gorzej.

Z zewnątrz wydawało się, że Marconi jest wymarły, na ulicach nie było widać zupełnie nikogo. Tydzień temu, wioska była pełna wielkich nadziei, ponieważ tutaj właśnie zdecydowali na przeprowadzenie eksperymentu z przestawianiem ludzi z powrotem na metabolizm typu ziemskiego. Dopóki nie pojawiła się nowa choroba, jej mieszkańcy mieli więc większe szanse przetrwania niż ktokolwiek inny na Marsie.

Już w pierwszym domu, do którego zaprowadził ich Harkness, ludzie leżeli w łózkach. Pomieszczenie było przyciemnione, snuł się po nim jeden mężczyzna, próbujący opiekować się innymi, chociaż jego skóra usiana była również małymi kropkami. Uśmiechnął się słabo.

– Cześć, Doc. Myślę, że sprawiamy ci wiele kłopotu, nieprawda?

Chris nie dała Docowi dojść do głosu.

– Tak, jak myślałam. Odra! Zwykła, stara, dobra odra.

– Tak też myślałem – powiedział chory. – Widziałem ją u mojego brata, jeszcze na Ziemi.

Pozostali wydawali się mieć wątpliwości, ale Doc potwierdził diagnozę. Chris powinna wiedzieć, pracowała w renomowanym szpitalu, w którym większość pacjentów miało metabolizm typu ziemskiego. Odra była jedną z chorób, która często towarzyszyła zmianie metabolizmu. No cóż, przynajmniej nie będą musieli poddawać się tu kwarantannie.

Chris kończyła właśnie badanie rodziny, którą traktowała z bezduszną efektywnością, dyskutując z Harknessem głośno symptomy choroby.

– Na szczęście, to nic poważnego!

– Nie – kwaśno odpowiedział Harkness. – Nic poważnego. Jak dotąd umarło jedynie pięcioro dzieci i troje dorosłych.

– Mogło tak się zdarzyć – zgodził się Doc ze współczuciem. – Wyprowadził Chris z pomieszczenia, pod pretekstem konieczności umycia rąk. – To jednak jest na tyle poważna sprawa, że może zmusić nas do porzucenia całej idei powrotu do metabolizmu typu ziemskiego. Dzisiaj odra, jutro ospa, gruźlica, szkarlatyna i cała reszta. Ci ludzie tak długo żyli z metabolizmem marsjańskim, że zniszczyło to ich naturalną odporność. Na Ziemi, gdzie choroby były powszechne, już dzieci wzmacniały swoją odporność poprzez ciągły kontakt z nimi, nawet jeśli same ich nie przechodziły. Tutaj, nie było powodów, aby organizm wytworzył we krwi odpowiednie przeciwciała. Mogą ich więc zabić nawet infekcje, które przywykliśmy uważać za śmieszne. Nie mam pojęcia skąd się tu wzięła ta choroba. Ale niestety jest. Tak więc musimy dać sobie spokój z pomysłem przestawiania ludzi z powrotem na ziemski metabolizm.

Zebrał razem przybory z jednego z zestawów i wyruszył w kierunku innych domów.

– A Bóg tylko wie, skąd weźmiemy krew dla nowej kuracji, nawet jeśli będzie ona skuteczna.

Chwilowo pracowali razem w zespole, podczas gdy Harkness, coraz groźniej marszcząc brwi, obserwował Chris.

– To są moi pacjenci, doktor Ryan. Odszedłem z Lobby, ponieważ nie zgadzałem się ze stwierdzeniem, że koloniści to niewiele więcej niż żywy inwentarz. I nadal uważam tak samo. Dziękuję za pomoc w diagnostyce i opracowaniu metod leczenia. Ale nie mogę się zgodzić, aby traktowała pani w ten sposób moich pacjentów.

– Dan! – Odwróciła się ze szklącymi się oczyma. – Dan, czy ty się na to zgadzasz?

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli poczekasz w traktorze, Chris.

Na szczęście udało mu się złapać zestaw, którym w niego rzuciła, zanim jego drogocenna zawartość rozsypała się po podłodze. Ale to nie

szczęście pokierowało jego ręką w tył jej spódniczki, na tyle mocno, by ją to porządnie zabiło.

Jej twarz zlodowaciała i wybiegła jak burza na zewnątrz. Chwilę później usłyszeli odjeżdżający traktor.

Doc nie miał jednak czasu, aby o niej myśleć. Razem z Harknessem rozdzielili się i zaczęli obchodzić kolejne ulice, dom po domu przekazując informację, o konieczności rezygnacji z przestawienia metabolizmu i powrotu do marsjańskiego.

Późnym wieczorem Jake przysłał im na pomoc dwu innych lekarzy. Kiedy Doc informował go o wydarzeniach w Marconim, w kwaterze głównej sprawy nieco przycichły.

– Gdzie jest doktor Ryan? – w końcu zapytał Jake.

Doc wymienił spojrzenia z Harknessem.

– Nie ma jej w laboratorium?

– Godzinę temu tam jej nie było.

Doc przeklął się w duchu, za to że ją puścił. Wiedząc, że radio w mikroskopie zostało unieszkodliwione, oczywiście podchwyciła pierwszą okazję, aby złożyć raport. A razem z nią, przepadła tajemnica informacji o jedynym lekarstwie jakie udało im się znaleźć.

Jake przyjął to na tyle spokojnie, na ile mógł, chociaż był to ciężki cios dla jego nadziei. Poświęcili pół nocy na poszukiwania jej traktora, biorąc również pod uwagę fakt, że mogła się gdzieś zgubić, albo coś mogło się zepsuć. Ale nigdzie nie znaleźli nawet śladu po niej.

Kiedy o świcie wrócili do laboratorium, już tam czekała. Twarz miała brudną, i całe jej ubranie było w nieładzie, ale szeroko się uśmiechała. Wstała aby ich powitać, trzymając w rękach dwie duże butle.

– Plazma dziecięca, prosto z Southport. I, jeśli myślisz, że to tylko zwykła wymówka dla mojego wyjazdu do i ze szpitala, to jesteś skończonym głupcem, Danie Feldman. Gdyby człowiek, który zajął moje stanowisko nie był kompletnym idiotą, nigdy nie udałoby mi się z tym uciec.

Zdawał sobie sprawę, że rzeczy o które ją podejrzewali, ciągle mogą być prawdą. Mogła złożyć szczegółowy raport do Lobby o wszystkim. Było to lepsze wyjaśnienie, niż jej mgliste opowiadanie o ciężkiej drodze w tą i z powrotem. Ale miała ciężką drogę, a on potrzebował tej plazmy. Osobliwe, że cieszył się z jej powrotu do niego. Wyciągnął rękę po butelki.

Położyła butle na stół i chwyciła krótki nóż.

– Nie tak szybko – krzyknęła. Teraz jej oczy wydawały się płonąć. – Danie Feldman, jeśli dotkniesz te butle, zanim nie przyczołgasz się na kolanach i nie przeprosisz mnie za sposób w jaki mnie traktowałeś przez ostatnie dni, wytnę ci twoje przekłute serce!

Pokręcił głową, rozbawiony sceną, jaką urządziła. Były chwile, że niemal mógł zrozumieć, dlaczego się z nią ożenił.

– W porządku Chris – poddał się. – Niech nie diabli, jeśli będę się czołgał, ale przyznaję, że należą ci się przeprosiny. Okej?

Westchnęła niepewnie. Potem skinęła głową i zaczęła przebierać się do pracy.

XIV

Odporność

Pracowali razem przez cały dzień, podczas którego zdawało się, że zapanowało między nimi zawieszenie broni. Kiedy następnego dnia obudził się z rana, nie czekała na niego kawa, tak jak przywykł ostatnimi czasy, ale nie skomentował tego. Podeszedł do stanowiska, przy którym ona już pracowała, sprawdzając wyniki działania plazmy na kultury.

Reakcja była wolniejsza, niż w przypadku krwi myszy, ale również i teraz drobnoustroje wydawały się ginąć. Włókienka zostały zniszczone i nie pozostało nawet śladu dużych komórek. Wydawało się, że mają lekarstwo, działające przynajmniej w butlach z kulturami.

– Potrzebujemy ochotników – zdecydował. – Najlepiej gdyby były to zwierzęta, ale nie mamy ich. Ale w końcu ten materiał nie jest szkodliwy. Potrzebni nam są zdrowi oraz zarażeni. Po dwie osoby z każdej grupy, tak by jedna mogła zostać poddana kuracji, a druga wykorzystana w celach kontrolnych. To daje czworo ludzi. Za mało, abyśmy byli pewni, ale to musi wystarczyć.

– Wystarczą dwie osoby – poprawiła go Chris. – Ty nie jesteś zarażony, ja jestem.

– Dwie dodatkowe – zgodził się. – Wezmę ich od Jake’a.

Większość z mieszkańców kwatery głównej, była na ulicach, ale Doc znalazł Jake’a w dużej sali szkolnej, gdzie tamten rozkoszował się swoją poranną braką i kawą. Szef wysłuchał go i od razu się zgodził, zwracając się do innych osób obecnych w sali.

– Kto miał straszliwe bóle głowy? Okej, Swanee. Kto nigdy ich nie miał? – mrugnął z zaskoczenia, gdy w odpowiedzi kiwnęło głową aż trzech mężczyzn, spośród ośmiu obecnych. – Myślę, że możesz iść ty, Tom.

Dwóch mężczyzn wstało, dogasili swoją brakę, i wyszli z Docem.

Chris miała już wszystko przygotowane. Rzucili monetą, o to kto z nich podda się leczeniu. Doc zauważył, że Chris miała nie dostać plazmy, podczas gdy on został wylosowany do wszystkiego. Musieli więc najpierw go zainfekować. Obserwował jak przygotowywała nową kulturę i dodawała akceleratora, który miał przyspieszyć jej rozwój i dalszy przebieg choroby, a następnie polecił aby mu to wstrzyknęła.

To było wszystko co mieli do roboty, poza czekaniem. Aby zachować większe podobieństwo warunków, wszyscy pozostali w laboratorium, aż do zakończenia wszystkich testów. Swanee wyciągnął talię zużytych kart i zaczął je rozdawać, podczas gdy Doc znalazł jakieś duże pigułki, które posłużyły za żetony.

Bóle zaczęły się w godzinę później. Doc właśnie wygrał kupkę pięćdziesięciu pigułek i właśnie otwierał usta by się tym ponapawać. Nagle

wrzasnął, gdy w głowie poczuł jakby wydobywającą się na zewnątrz eksplozję. Nawet zamknięcie ust stawało się agonią.

Chwilę później Doc zaczął się pocić. Było mu coraz gorzej, ból rozchodził się na cały tył głowy oraz kark. Leżał na łóżku, zazdroszcząc Chris i Swanee, którzy wcześniej zostali zarażeni w naturalny sposób. Desperacko chciało mu się zapalić brakę, ale nieustannie wbijał sobie do głowy, że w czasie testu nie wolno mu przyjmować żadnych substancji. To był najdłuższy dzień jego życia, i zaczynał wątpić, czy zdoła przez to przejść. Patrzył na mały zegar, na którym cyfry przeskakiwały od jedynki do dziewiątki. Na ostatnie pół minuty wstrzymał oddech. W końcu wyskoczyła dziewiątka i... zero. Nie było wątpliwości, że został zarażony. Teraz mógł przytępić ból środkami znieczulającymi.

Chris już wcześniej rozpuściła w wodzie tabletki anodyny, a Swanee przygotował trzy podpalone łądygi braki. Minęło kilka minut zanim anodyna przyniosła ulgę, a nawet ona nie mogła zupełnie zabić bólu. Nie miała za to wpływu na porównywalność poszczególnych przypadków. Na przemian palił brakę, dogaszał ją, i zaczynał tasować karty.

Mieli dosyć obfity zapas anodyny, ale zużył go tej nocy niemal w całości. Test miał być przyspieszoną symulacją naturalnego przebiegu choroby, w którym większość ludzi otrzymywała środki przeciwbólowe dopiero po pewnym czasie, ale potem były one dostępne w dużych ilościach.

Dokładnie o dziewiątej rano, Chris zaczęła robić Docowi i Swanee zastrzyki z plazmy. Teraz nikt już nawet nie myślał o kartach. Czekali, próbując rozmawiać, ale większość swojej uwagi poświęcali zegarowi. Doc oszacował, że na pojawienie się rezultatów powinna wystarczyć godzina, ale trzeba było koniecznie pamiętać, że godzina była tu przypuszczalnie minimalnym okresem czasu.

Drgnął z bólu, gdy Chris pobrała do badania mały fragment mięśnia z jego karku. Podeszła do pozostałych mężczyzn, a potem wykonała tę samą czynność na sobie samej. Potem zaczęła przygotowywać slajdy.

– Feldman – odczytała nazwisko na slajdzie i wsunęła go do mikroskopu. Potem gwałtownie złapała powietrze. – Tylko martwe komórki!

Tak samo było w przypadku Swanee i Toma. Każdy rzucał spojrzeniem na swój slajd, wcześniej otrzymując wyjaśnienia, co powinien zobaczyć. Na końcu Chris wsunęła swój własny slajd. Minutę później rzuciła na niego okiem i skinęła głową.

– Tak jak powinno być. Wszystko się zgadza.

Tom wydał okrzyk radości i wybiegł przez drzwi, żeby powiadomić Jake'a. Plazmy mieli jedynie na około dwieście zastrzyków, ale to powinno wystarczyć jako dostateczny dowód. Kiedy ludzie będą widzieli możliwość ratunku, nie powinno być kłopotu z przekonaniem ich, że dar krwi dzieci jest tego wart.

Później, kiedy zużyto ostatnie resztki plazmy, mogli w końcu odpocząć. Chris zsunęła ubranie i padła na łóżko. Na jej wargach pojawił się zmęczony uśmiech.

– Zostało ci wybaczone, Dan – powiedziała. Chwilę później najwyraźniej już spała. Doc miał zamiar zrobić podobnie, ale było to dla niego zbyt dużym wysiłkiem. Oparł tylko przód głowy o ramiona, mgliscie dziwiąc się dlaczego Chris odwołała wojnę.

Kiedy obudził się, na zewnątrz była już noc. Leżał w łóżku, ale ciągle czuł się odrętwiały ze zmęczenia. Poderwał się z jękiem i w końcu zdał sobie sprawę, że jakaś dłoń potrząsa go i szarpie za ramię. Spojrzał w górę i zobaczył nad sobą Jake'a. Chris zajmowała się ekspressem do kawy.

Jake klapnął na łóżko obok Doca.

– Zajęliśmy Southport – oznajmił.

To wybiło Docowi sen z głowy.

– Co zrobiliście?

– Przybyliśmy, zobaczyliśmy, zwyciężyliśmy. Miałem nadzieję, że wieści o twoim lekarstwie dodadzą ludziom śmiałości, i tak też się stało. Ale prawdopodobnie i tak byśmy je zajęli. Gdy Ziemia się wycofała i zaraza naprawdę uderzyła, nie musieliśmy nawet o nie walczyć. Wilson pomylił panikę z duchem bojowym. Ci biedni kretyni nie mieli już o co się bić, gdy Lobby przestało siedzieć im na karku.

Doc próbował przetrwać nowiny. Ale kiedy minęło pierwsze wrażenie, zorientował się, że niewiele one dla niego znaczą. Być może jego zapał rewolucyjny osłabł, kiedy ludzie Lobby wycofali się z Marsa.

– Będziemy potrzebowali dużo więcej tej plazmy, która jest w Southport – powiedział.

– Być może nie tak wiele – zaprzeczył Jake. – Doc, trzech ludzi, którym zrobiliście zastrzyk, zostało zastrzelonych jako biegacze. Twoja plazma kiepsko działa.

– Musi minąć trochę czasu, by zaczęła działać, Jake. Mówiłem ci, że mogą się trafić jeden lub dwa przypadki, które są zbyt blisko krawędzi. Trzy, to więcej niż oczekiwałem, ale to nie jest niemożliwe.

– Mieli całe mnóstwo czasu. To w nich uderzyło, kiedy wracaliśmy z Southport – Jake zarzucił rękę na ramie Doca i jego twarz złagodniała. – Harkness przetestował wszystkich ludzi, którym zrobiliście zastrzyk. Skończył pół godziny temu. W pięciu przypadkach zarazki okazały się martwe. Reszcie chorych to nic nie pomogło.

Doc nerwowo szperał palcami, szukając braki, i próbując myśleć. Ale w żaden sposób nie mógł skupić myśli.

– Pięć!

– Pięć osób na dwie setki. Tyle jeśli chodzi o średnią. A co z Tomem? Ostatniej nocy po testach skakał dookoła, opowiadając jak go wyleczyłeś, jak mógł zobaczyć martwe zarazki. A przecież on nigdy nie miał bólów głowy, i nigdy nie dawaliście mu plazmy! Ale miał martwe zarazki. Harkness go sprawdzał.

Na Doca spłynęła świadomość własnej głupoty, tak że z trudem mógł w nią uwierzyć. Jake miał rację. Tom nigdy nie był leczony, ale Chris znalazła w próbkach jego tkanki martwe zarazki. Po tak długim oczekiwaniu na cud, wszyscy wtedy tak bardzo chcieli w niego uwierzyć, że nikt nie był w stanie jasno myśleć.

– Miał na karku wybrzuszenie... bardzo nieznaczne – powiedział wolno.
– Jake, on musiał to kiedyś złapać, nawet jeśli wydawał się zdrowy. Jeśli brał kiedyś anodynę, na cokolwiek... lub nieświadomie...

– Sześć lat temu był w szpitalu w Northport na operacji nerek – Jake przyznał z wątpliwością w głosie. – Musieliśmy się zebrać by za nią zapłacić. Ale nadal wiemy, że nie poddawałeś go leczeniu, a jest zdrowy. Spójrz w oczy prawdzie, Doc. Ta plazma nie działa w ciele ludzkim.

Znów chwycił Doca za ramię.

– Nie robię ci żadnych wyrzutów. Nie oceniamy tutaj ludzi inaczej niż na podstawie tego jacy są. Być może ten towar trochę pomaga. Kiedy go zdobędziemy, nadal będziemy z niego korzystać. Mów wszystkim, że byłeś nieco zbyt dużym optymistą, tak żeby wiedzieli, że to jest hazard, ale żeby też pozostało im trochę nadziei. A przede wszystkim próbuj dalej. Coś przecież wyleczyło Toma. Teraz tylko dowiedz się co to było.

Doz w odrętwieniu patrzył jak Jake wychodzi z laboratorium, a potem zwrócił się do Chris.

– To nie może być prawda – powiedział wstrząśnięty.

– Ty i Swanee też zostaliście wyleczeni. Może to był akcelerator. Musiało przecież coś być.

– Ty nie przyjmowałaś akceleratora – sprzeciwił się.

– Nie, i moje zarazki ciągle mają się dobrze. Nawet nie myślałam, że mogę zostać wyleczona, tak więc to co zobaczyłam w mikroskopie nie było dla mnie niespodzianką. Jak mogłam przegapić, że z Tomem powinno być podobnie. Nie mam zielonego pojęcia. Cholera, cholera jasna!

Nigdy wcześniej nie widział żeby płakała, chyba że z gniewu. Opanowała się jednak niemal natychmiast, wycierając łzy z oczu.

– W porządku. Plazma działa w butli, ale nie w organizmie dorosłej osoby. Być może jakiś czynnik blokuje jej działanie w organizmie, ale w butli już nie.

– Być może. A być może niektórzy ludzie stają się odporni na jej działanie w naturalny sposób, po osiągnięciu pewnego stadium choroby. Niewykluczone, że wpadliśmy w sidła przypadkowej koincydencji.

Ale jakoś nie był do tego przekonany, nawet w większym stopniu niż ona. Odpowiedź musiała być gdzieś tu, w tym pokoju. Przyjął potężną dawkę zarazków, a został wyleczony w ciągu zaledwie kilku godzin.

Na zewnątrz laboratorium, toczyła się wojna, nieuchronnie zmierzając w kierunku końca. Domniemane częściowe wyleczenie, było dobrą wiadomością propagandową, nawet jeśli niczym więcej, tak więc Jake stopniowo powiększał zajęte terytorium. Opór przeciwko jego siłom był raczej symboliczny. Miał teraz do dyspozycji promy z Southport, co pozwoliło mu szybko pokryć swoim działaniem olbrzymie obszary. Ale wewnątrz laboratorium bitwa nie była już taka udana. To nie był akcelerator. Nie były to również tabletki anodyny. Zamietli nawet podłogę i próbowali wykorzystać zebrany kurz, ale bez rezultatów.

W laboratorium przeprowadzony został kolejny test z udziałem czterech ochotników wybranych przez Jake'a i dał on w wyniku pełne wyzdrowienie, po zastrzykach ze słonej wody w miejsce plazmy.

Zaraza z kolei rozprzestrzeniała się coraz szybciej. Wydawało się, że około czterech ludzi na stu, po zarażeniu się chorobą samoczynnie zdrowieje. Oceniali, że to właśnie było przyczyną która spowodowała, że uwierzyli w działanie plazmy Doca i dali innym nieuzasadnioną nadzieję.

W tydzień później upadło Northport i cała planeta wpadła w ręce buntowników.

Jake powrócił bardziej znużony niż zwykle. Okazało się, że był jednym z ludzi naturalnie uodpornionych, ale znaczenie kampanii, która mogła zakończyć się jedynie po zwalczeniu zarazy, nie pozwalało mu cieszyć się swoim osobistym szczęściem.

Tym razem wyglądał na kompletnie przybitego. Chwilę później, Doc ujrzał jak Jake wyciąga na stół delikatną kartkę papieru. Widoczne były na niej pieczęcie Lobby Kosmicznego i Medycznego.

Jake wskazał ręką w górę.

– Pojawiło się tam całe mnóstwo rakiet bojowych. W porządku, wiedzieliśmy, że przylecą. Ale ceną za ich odwołanie jest nasza kapitulacja i twoje lekarstwo. Jeśli nie dostaną obydwu tych rzeczy, rozwalą planetę w drobniaki. Mamy dwa dni czasu.

Rakiety były całkiem dobrze widoczne przez lornetkę. Było ich nawet więcej niż to potrzebne dla zniszczenia całego życia na planecie. Być może zresztą, i tak w końcu zostałyby użyte, ponieważ Lobby nie chciały więcej buntów, ale mając lekarstwo na zarazę, Jake mógłby ich przekupić.

Chris stała tuż za nim i wyglądało, że dla niej to również jest gorzka pigułka. Ryzykowała oddanie samej siebie w ręce wroga, musiała współpracować ze wszystkim, czego nauczono ją nienawidzić, a przy tym harowała jak wół. Teraz wydawało się, że Lobby przestały traktować ją jako użyteczne narzędzie. Wrócili do gry opartej na czystej sile, zapominając o wszystkich wcześniejszych planach.

– Może powstrzymają się na chwilę, jeśli zgodzę się do nich polecieć i podzielić się swoją wiedzą, próbkami i notatkami – powiedział w końcu. – Jak myślisz, Chris, czy twoje Lobby zgodzi się na to?

– Nie wiem, Dan. Przestałam już rozumować w taki sposób jak oni. – Wydała się niemal skruszona tym wyznaniem.

Położył jej rękę na ramieniu i razem z nią odwrócił się w stronę laboratorium.

– No dobrze, a więc musimy dokonać cudu. Zostały nam dwa dni. Przynajmniej możemy spróbować.

XV

Decyzja

Dwa dni nigdy nie były dostatecznie dużą ilością czasu na dokonanie cudu. Doc stwierdził to pakując swoje notatki w małą torbę i kładąc ją obok węzła z rzeczami osobistymi. Po raz ostatni rozejrzał się dookoła po pomieszczeniu i zdołał nawet szyderczo wyszczerzyć zęby w odpowiedzi na przygnębiony wyraz twarzy Jake'a.

– Być może uda mi się jakoś zablokować, a może chwilowo trochę sami wezmą na wstrzymanie – powiedział. – Na razie, na szczęście, zgodzili się wziąć mnie i moje notatki zamiast lekarstwa. Kiedy ten prom wróci na stację orbitalną, mam w nim być.

Jake przytaknął.

– Nie lubię wysyłać przyjaciół na tamten świat, Doc. Ale wydaje mi się, że i tak nie będzie to dla ciebie gorsze, niż gdybyś wyleciał w powietrze razem z całą planetą. Oczywiście, nawet jeżeli dostaną cię w swoje łapy, to i tak nie odwołają tych rakiet. Ale może nie użyją ich, zachowując je jako groźbę wymuszającą ponowne wprowadzenie tu władzy Lobby, silniejszej niż kiedykolwiek.

Wyciągnął jedną ze swych, tak wydawałoby się niezgrabnie uformowanych rąk, nasunął na twarz aparat oddechowy i pośpiesznie odszedł. Doc podniósł swoje bagaże, wyszedł na dwór i ruszył w kierunku małego traktora, w którym czekał Lou, aby odwieźć jego i Chris do Southport, gdzie miał przylecieć po nich prom rakietowy. W swoich żądaniach nie wymieniali co prawda Chris, ale ojciec musiał oczekiwać jej powrotu.

Kiedy go przejmą, dalej już będzie musiał jakoś radzić sobie sam. Najlepszym sposobem postępowania dla niego, będzie prawdopodobnie upieranie się przy rozmowach bezpośrednio z Ryanem z Lobby Medycznego, oraz wtedy zachowanie całkowitej szczerości. Pomieszczenia laboratorium tutaj, miały zostać opieczetowane, na wypadek gdyby Lobby chciało dochodzić w którym momencie poniósł porażkę. A jego notatki były uczciwe i w większości przypadków było to możliwe do sprawdzenia. Chris również mogła o tym zaświadczyć, choćby z tego powodu, że wiele z nich sporządziła dla niego osobiście.

W najlepszym razie, byłaby to szansa na jakiś kompromis i być może jakiś ślad dla nich, który pozwoliłby ewentualnie na zdławienie zarazy. Mieli wystarczającą liczbę ludzi do pracy nad tym, i do dyspozycji miliardy na niezbędny sprzęt. W najgorszym przypadku powinien zyskać trochę czasu.

– Uszy do góry, Chris – powiedział jej, kiedy wciskał się do traktora przez niewielką śluzę powietrzną. – Może Harkness znajdzie lekarstwo,

zanim nasze negocjacje się załamią. Ma teraz cały szpital w Northport, do pracy nad tym. Jeszcze nie próbowali go stamtąd wygonić. W końcu niemal coś znaleźliśmy, nie mając żadnego wyposażenia poza nieskrępowaną wyobraźnią.

Potrząsnęła głową w tej samej chwili, gdy traktor ruszył z miejsca.

– Zamknij się! Mam wystarczająco dużo problemów, bez twojego włożenia mi na głowę z twoimi rewelacjami. Nie bądź głupi!

– A po co mam to teraz zmieniać? – zapytał ją. – Wszystko co zrobiłem zdarzyło się, ponieważ jestem głupcem. Wydaje się, że szczęścia i tak starczyło mi na dłużej niż mogłem tego oczekiwać. I ciągle jestem na tyle głupi, by myśleć, że w końcu musi się znaleźć jakieś rozwiązanie naszego problemu. Wiemy, że ono musi być gdzieś w pomieszczeniu laboratorium. Do diabła, musimy nawet je znać... gdybyśmy tylko byli w stanie pomyśleć dostatecznie jasno.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, ale nie skomentowała w żaden sposób jego słów. Takie rozpaczliwe stwierdzenia wcześniej padały między nimi, już zbyt wiele razy. Ale jakby echo powtarzało mu w głowie... coś w laboratorium, coś w laboratorium... Coś tak zwyczajnego, że nikt tego nie zauważył!

Przedostali się przez tłum ścigający biegacza. Coś w jego laboratorium mogłoby uratować tego nieszczęsnego człowieka. Mogłoby może, nawet uratować Marsa.

Warknął na siebie w myślach, już chyba po raz setny, przeklinając swój przytępiony ze zmęczenia umysł. Za mało snu, za dużo kawy i braki...

Sięgnął po pakietek łydyg braki, myśląc, że będzie mu jej brakować na Ziemi, oczywiście jeżeli kiedykolwiek w ogóle tam dotrze. Tak jak w przypadku niemal wszystkiego na tej planecie, zaczął od tego, że jej nie cierpiał, ale z biegiem czasu zwyczaj jej palenia stał się czymś, co chciałby zachować na zawsze. Zapalił brakę i siedział rozkoszując się jej smakiem, przyglądając się jak Lou prowadzi. Kiedy skończyła się pierwsza łydyga, natychmiast odpalił od niej następną.

Wyciągnęła rękę i zabrała mu ją.

– Proszę cię, Dan. Jestem w stanie tolerować to zielsko, ale nigdy go nie lubiłam, a w traktorze już wcześniej wystarczająco cuchnęło. Mam już po prostu dosyć tego świństwa. A w dodatku ciągle przypomina mi nasz test, wasza trójka, zasmradzająca całe laboratorium, ciągnąca i dmuchująca tym przez cały czas, podczas gdy ja nie mogłam nawet złapać łyku świeżego powietrza...

Gderła dalej, wygłaszając swoje wyrzuty, kiedy nagle...

W końcu odpowiedź rozbłysnęła mu się w głowie. Natychmiast odwrócił się, chwytając ramię Lou i kiwając na niego by spojrzał do tyłu.

– Braka... to musi być braka! Chris, to jest to! Jake do grupy testowej wybrał ludzi spośród swoich przyjaciół, a wszyscy jego serdeczni przyjaciele nieustannie przesiadują w tej ich tak zwanej palarni. Za pierwszym razem zarazki zginęły u wszystkich, którzy palili, a w twoim przypadku to nie zadziało, ponieważ nigdy wpadłaś w ten nałóg.

Lou zawrócił już traktor i pociągnął do oporu dźwignię mocy silników.

Siedziała teraz zupełnie wyprostowana, ale ciągle nie była do końca przekonana.

– Odsetek odpornych wydaje się mniej więcej zgadzać. Dlaczego jednak niektórzy z palaczy złapali chorobę, a inni nie?

– A czemu nie? Zależy to od tego, kiedy wpadli w nałóg, przed czy po rozpoczęciu choroby. Tom musiał zarazić się wtedy, kiedy był w Northport. Nie pozwolili mu tam palić, oczywiście zakładając, że wcześniej już to robił.

Nie znalazła w jego rozumowaniu żadnego błędu. On również obracał całą sprawę w głowie, ze wszystkich stron, próbując znaleźć błąd. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Jedynym problemem było to, że nie mogli wysłać wiadomości, że lekarstwem jest braka, i mieć nadzieję że na Ziemi okaże się, że to prawda. Jeśli się mylą, to żadna układowa nota z przeprosinami nie załatwi potem sprawy. Musieli mieć pewność. Wcześniej już zbyt wiele innych pomysłów okazało się być błędnymi.

Jake zauważył, że jadą z powrotem i pobiegł w kierunku laboratorium, ale Lou zatrzymał traktor obok niego, zanim zdążył dopaść do budynku i zabrał starszego mężczyznę do środka.

– Daj mi kilkunastu ludzi, którzy mają zarazę. Chcę najcięższe przypadki, jakie masz i tych, których testował sam Harkness. – polecił mu niezwłocznie Doc. – A potem zacznij się modlić, aby lekarstwo, które odkryliśmy, działało szybko.

Po wejściu do laboratorium, Chris od razu rzuciła się do mikroskopu elektronowego, ale jedną ręką wyciągnęła po łodygę braki. Mężnie zaczęła ją palić, powstrzymując mdłości. Kiedy zaczęli przychodzić inni ludzie, na ich twarzach niepewność walczyła z nadzieją, w którą wciąż nie ośmielali się uwierzyć. Za nimi przyszedł Jake.

– Dobrze, będziemy testować w dziesięciominutowych interwałach. Dla ostatniej osoby w grupie, to zajmie około dwu godzin – zdecydował Doc. Jeden z lekarzy przyprowadzonych do wioski przez Harknessa, zajął się pobieraniem małych próbek z guzów na karkach ludzi, podczas gdy Chris przerzucała je przez mikroskop, upewniając się, że zarazki są wciąż aktywne. Do tego wystarczającą moc miał zwykły mikroskop optyczny.

Doc podawał każdej z osób ziele braki, polecając nieustannie palić, niezależnie od tego jak mocno by ich mdliło.

Na koniec dziesięciominutowego okresu, kiedy zrobiono pierwsze testy, nie było żadnego efektu. Za drugim razem, po dwudziestu minutach, czekający ludzie ciągle byli zarażeni przez aktywne drobnoustroje. Po pół godzinie, Chris zmarszczyła brwi.

– Nie jestem pewna, Dan spójrz tutaj.

Pochylił się nad mikroskopem, przesuwając slajd, aby sprawdzić kolejną próbkę.

– Mnie też tak się wydaje. Następny test powinien dać odpowiedź.

Po czwartym teście nie było już żadnych wątpliwości. Zarazki były martwe, bez wyjątku. Nie udało im się znaleźć żadnego, który by przeżył.

Jeden po drugim, ludzie przechodzili badanie i wypadali jak burza, wykrzykując nowinę. Początkowo, zebrany przed laboratorium tłum był sceptyczny, pamiętając poprzednie porażki. Potem, nagle ludzie zaczęli

krzyczeć, płakać i walczyć o drogocenne kawałki braki, jak legiony przeklętych, chwytające losy loterii, w której główną wygraną jest przepustka do raju.

Jake zaklął i ruszył w kierunku drzwi.

– Tutaj mamy za mało braki. Myślę, że uda mi się załatwić dostawę z Edisona i dowieźć ją do promu. Wystarczająco dużo, by starczyło im na próbę, oraz by chcieli jej więcej. Nie będzie łatwo, ale dostarczymy ją tam na czas... przed odlotem promu, który miał cię zabrać na górę. Doc, wygrałeś naszą wojnę! Teraz, jeśli Ziemia chce uchronić swoją ludność, będziemy wolną planetą!

Chris powoli odwróciła się od mikroskopu, trzymając w swoich rękach slajd.

– Moje zarazki – wyszeptała ciągle nie mogąc uwierzyć. – Don, one są martwe!

Jake klepnął ją po ramieniu.

– To doskonale, dziewczyno. Teraz już chodźmy. Czas zacząć celebrować nasze zwycięstwo.

W głowach większości mieszkańców wiosek, którzy spotkali się następnego dnia w Southport, w sali tego samego sądu, którego przewodniczącym przez tak długi czas był sędzia Ben Wilson, zapanowało jedno powszechne uczucie. Odnieśli zwycięstwo, a do zwycięzcy należały łupy. Braka odleciała na Ziemię, na przebudowanej rakiecie bojowej, która mogła wykonać ten przelot w czasie poniżej dwu tygodni. Jeden z pakietów, był specjalnie zaadresowany do kapitana Evertsa. Ziemia już wcześniej potwierdziła skuteczność kuracji. Niewielkie ilości ziela znalezione w ogrodach botanicznych, okazały się wystarczające aby rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Harkness, Chris i Doc ciężko walczyli przeciwko zaślepienemu pragnieniu obrabowania Ziemi do cna, jakie w ciągu ostatnich godzin opanowało większość zebranych tutaj ludzi. Mieli również wsparcie Jake'a i sędziego Wilsona. Teraz w końcu mogli odrobinę odsapnąć, czując że ich argumenty zwyciężyły.

Interes we właściwym miejscu i czasie nie jest niczym złym, ale nie ma dla niego miejsca w sprawach życia i śmierci, takich jak ta. Chcieli się upewnić, że Ziemia otrzyma tyle braki, ile będzie potrzebować. Oczywiście słuszną rzeczą było, żeby zapłaciła ona za nią uczciwą cenę, ale nie chcieli ograniczać do niej dostępu, poprzez limitowanie dostaw lub narzucenie zbyt wysokich opłat. I ciągle jeszcze mogli osiągnąć swoje cele bez uciekania się do szantażu.

Marsjańskie alkaloidy były złożonymi substancjami, a dym braki zawierał wiele z nich. Odkrycie i zsyntetyzowanie właściwego składu, zabrałoby Ziemi co najmniej dziesięć lat, i prawdopodobnie kosztowałoby dużo więcej niż import ziela z Marsa. Jak długo źródło tego ziela

pozostawało tutaj, w rękach kolonistów, tak długo nie było groźby, że Ziemia zbombarduje planetę.

Harkness wstał, by podkreślić uwagę poczynioną przez Wilsona.

– Zaraza przeżyła milion lat, i teraz przecież również nie zniknie. Okropne bóle głowy, powodowane przez migrenę Selznika, są na tyle nieprzyjemnym objawem, abyśmy byli pewni, że konsumpcja braki będzie utrzymywać się na stałym poziomie. Problemem prawdopodobnie będzie raczej, powstrzymanie naszych potomków od zbyt częstego jej użycia. – Wyciągnął łodygę i zapalił ją, krzywiąc twarz gdy dym uszczypnął go w język. – Chciałem przez to powiedzieć, że w przyszłości stanie się to zapewne przyjemnym nawykiem. I jeśli ja jestem w stanie w to uwierzyć, z pewnością wy również możecie mi uwierzyć, kiedy mówię, że teraz nie musimy handlować niczym życiem.

Mieszkańcy wiosek byli uczciwymi ludźmi, a większość z nich ciągle jeszcze dobrze pamiętała napięcie, pod jakim żyli, niemal bez przerwy czekając na to, kto z ich bliskich teraz umrze. Początkowo wzbierała w nich chęć zemsty, ale teraz mając szansę na ponowne przemyślenie sprawy, z coraz większą niechęcią myśleli o zmuszaniu innych do przeżywania takiej grozy. Końcowe głosowanie było niemal jednomyślne.

Doc przysłuchiwał się, jak wyklócają się o sposób sformułowania odezwy dla Ziemi, czując do tej kwestii duży dystans. Podał Chris łodygę braki i od razu ją dla niej przypalił. Wzięła ją automatycznie, uśmiechając się, gdy dym dotarł do jej płuc. Przynajmniej tę jedną rzecz mieli teraz wspólną.

W końcu Ben Wilson odczytał opracowaną odezwę.

„Pozdrawiamy wszystkie narody Ziemi!

W imieniu wolnego ludu Marsa mamy honor oznajmić, że niniejszym planeta ta, ogłasza się suwerennym i niezależnym światem. Nadal odczuwać będziemy szacunek dla Ziemi jako dla naszej matki, a w kwestiach istotnych dla obu planet, uważać będziemy zdrowie i powodzenie jej ludu, za nie mniej ważne niż nasze własne. Wyrażamy nadzieję, że Ziemia również dzielić będzie to uczucie wzajemnej przyjaźni. Ufamy, że wszystkie problemy wynikające z wrogości, zostaną zażegnane. Obustronne korzyści z pokojowej wymiany handlowej, czynią absolutnie nie do pomyślenia inny kierunek rozwoju naszych kontaktów niż dążenie ku jak największej serdeczności.

Jako dowód takiej przyjaźni, uważalibyśmy wydanie przez Ziemię rozkazu dla wszystkich rakiet krążących wokół tej planety, aby oddały się bezpiecznie w nasze ręce, tak byśmy mogli rozpocząć ich przekształcanie dla celów pokojowych, dla handlu który ma zostać podjęty. Z naszej strony, zobowiązujemy się, że uczynione zostaną wszystkie wysiłki dla zapewnienia niezwłocznej dostawy najbardziej potrzebnych produktów, włączając lecznicze rośliny braki.”

Następnie zwrócił się do Doca.

– Czy zechciałby pan to podpisać, doktorze Feldman? Prosimy, aby pan to zrobił, jako ktoś w rodzaju urzędującego prezydenta, dopóki nie przejdziemy do wyboru pana na stały urząd.

– To ty i Jake walczyć sobie o tę robotę – powiedział mu Doc. – Nie, Ben, nie mam zamiaru tego zrobić.

Wstał i wyszedł do pomieszczenia na zewnątrz sali, gdzie mógł uniknąć zdumionych spojrzeń, które skierowały się na niego ze wszystkich stron. Nigdy nie prosił o żadne honory, ani też ich nie chciał.

Chris wyszła za nim. Jej twarz była zaszokowana i w miarę jak na nią patrzył, z wolna coś zaczęło z niej spływać.

– Daj sobie spokój, Chris – powiedział. – Wracasz z powrotem na Ziemię. Nie masz tu nic do roboty.

Nie zrezygnowała jeszcze do końca.

– Ale mogłabym mieć, Dan. Przecież to wiesz.

– Nie. Nie, Chris. I nie wiem, czy gdziekolwiek będziesz miała. Nie znajdziesz człowieka dostatecznie silnego by rządzić, a jednocześnie dostatecznie słabego by pozwolić ci rządzić zamiast niego. To nie działało na Ziemi i nie będzie działać tutaj. Zapomnij o swoich marzeniach o tym co można zdziałać z tą nową planetą. Takie właśnie marzenia spowodowały ten cały bałagan na starym globie.

– Wróć tutaj – powiedziała mu. – Pewnego dnia wrócę tu jeszcze.

Znów potrząsnął głową.

– Nie. Nie spodobałoby ci się to, co tu byś ujrzała. Wolność idzie mocno do głowy, ale musiałabyś najpierw jej trochę zasmakować. Nie możesz nabrać do niej zamiłowania, kosztując jej z drugiej ręki. A na razie, jak się wydaje, będzie tu wolność. Poza tym, kiedy już wrócisz na Ziemię, szybko zapomnisz o tym, co się tutaj wydarzyło.

W końcu westchnęła. Po raz pierwszy odkąd ją poznał, wydawała się w pełni ustępować. I przez tę krótką chwilę, kochał ją taką, jaką mogłaby być, ale nigdy nie byłaby w stanie.

– W porządku, Dan – powiedziała cichym głosem. – Nie mogę z tobą walczyć. Widzę teraz zresztą, że nigdy tego nie potrafiłam. Polecę rakieta na Ziemię. A co ty będziesz robił?

Jeszcze o tym nie myślał, ale znał odpowiedź.

– Badania. Cóż innego miałbym robić?

Należało tu przeprowadzić cały szereg różnych badań. Zbyt długo były tłumione i wytworzyły duże ciśnienie, które musiało być uwolnione. A te badania, jak podejrzewał, mogły skutkować końcem stabilnej oligarchii Ziemi. Nigdy nie zdołała stawić zapory zmianom, jakie rozlewać się będą z Marsa.

Położyła swoje ręce na jego ramionach i przesunęła się naprzód by go pocałować. Pochylił się ku niej i zobaczył, że jej oczy były mokre od łez. Zresztą jego być może również. Potem uwolniła się.

– Jesteś głupcem, Danie Feldman – wyszeptała, i ruszyła korytarzem w stronę wyjścia z gmachu rady Marsa.

Dan Feldman z wolna przytaknął, kiedy odchodziła. Tak, był głupcem. Zawsze był głupcem i zawsze będzie. I dlatego właśnie nie będzie mógł

objąć tutaj przewodnictwa. Głupcy i idealisci nie powinni nigdy rządzić światem. To należy do ludzi praktycznych, takich jak Jake.

Ale ludzie praktyczni potrzebowali także głupich idealistów. I być może obecnie, na Marsie, ludzie ich pokroju oraz głupcy jego pokroju, mogą dodać kolejny element do starożytnej mozaiki wolności.

Na dworze bojowe rakiety z Ziemi zaczynały spokojnie lądować na wolnej ziemi Marsa.

KONIEC